Numer 3 i 4. Nal. pczt. opł. ryczałtem. **Dnia 26 Stycznia 1930**



ROLA

Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.

ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Ręczna robota.

— Bój się Boga Ignacy, cóż ty masz tak okropnie twarz podrapaną?

— E nic! tylko ręczna robota mojej drogiej żonusi.



Zabawne.

Dwóch przyjaciół siedzi w restauracji ze swemi żonami i dziećmi. Jeden z nich zwracając się do żony przyjaciela, nazywa ją panią Ludwikową.

— Tak to zabawnie — woła pięcioletni malec, pan nazywa mamę panią Ludwikową, a wczoraj wieczór mówił pan: „mój najdroższy aniołku!"



Wspomnienie.

Moryc (nad brzegiem ruczaju obejmując swą narzeczoną). — Czy przypominasz sobie Surciuleben — ten piękny wieczór majowy — kiedyśmy sobie pierwszy raz miłość wyznali. Świat był wtedy tak piękny, kwiaty tak pachniały, słowiki śpiewały, a akcje to akuratnie wtenczas podskoczyły na 9½ procent.



Różnica.

Między kobietą a aniołem jest ta tylko różnica, że kobieta się maluje, a anioła malują.

Ciekawy.

— Ciociu, czy twój ptaszek ładnie śpiewa?

— Ależ ja nie mam ptaszka moje dziecko.

— Tak? To ciekaw jestem, czemu tata wczoraj powiedział, że ciocia ma ptaszki w głowie.



W sądzie.

Sędzia. Jesteś pani wdową, mężatką, czy też wolną?

Świadek. Mężatką, panie sędzio, ale jeżeli pan sędzia wie o jakiej dobrej partji, to mogę się rozwieść.



Po szkole.

Ojciec pyta syna: I cóż, nauczyłeś się czego w szkole?

— Ale skąd! Jakem się czego miał nauczyć, kiedy nauczyciel sam nic nie wie i nas się dopiero o wszystko pyta.

Naiwna.

Podlotek. Mamo, czy to przyzwoicie, że p. Dulski podczas przedstawienia do mnie się ciągle uśmiechał?

Mama. Pewnie, że nieładnie! a gdzież on siedział?

Podlotek. Zaraz za nami.

Mama. No, a skądże wiesz, że się uśmiechał?

Podlotek. Przecież się obracałam do niegog!

Numer 3 i 4. Rok XIII. Kraków, dnia 26 stycznia 1930.

ROLA

Kraków, ulica św. Tomasza L. 32

ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1930: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40 zł; do Czechosłowacji rocznie 50 koron cz., półrocznie 27 kor. cz., kwartalnie 15 kor. cz.; do Francji rocznie 60 franków fr., półrocznie 30 fr., kwartalnie 15 fr. — Do Ameryki rocznie 2 i pół dolara. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji »Roli« 30 groszy.
Adres na listy do Redakcji i Administracji »Roli«: **Kraków, ulica św. Tomasza 32.**

Konto pocztowe w Polsce: Kraków P. K. O. 406 301. Konto pocztowe w Pradze czeskiej: Praga Pocz. Urząd Czek 500 868.

Z powodu strajku personalu w drukarniach krakowskich w ubiegłym tygodniu „Roli" nie wydaliśmy. Obecnie po powrocie personalu do pracy wydawanie „Roli" rozpoczęliśmy w dalszym ciągu.

Jak my sobie cenimy Wolność Ojczyzny.

Jakieś przysłowie powiada, że wartość pewnej osoby lub rzeczy najlepiej się poznaje po stracie tejże, gdy nam jej naprawdę zabraknie. Wtedy dopiero widzimy dokładnie, jaką rolę ta osoba lub rzecz odgrywała w naszem życiu. Wtedy dopiero tęsknota nasza za tą osobą, czy rzeczą, jest miarą potrzeby naszego serca.

Powyższe twierdzenie da się dokładnie zastosować do Zmartwychwstałej Polski. Przez półtora wieku, rozdrapani na trzy świata strony, przeżywaliśmy straszną niewolę. Wpadliśmy w nią przez własną winę, przez kłótnie, niezgodę, wojny domowe i tak wyniszczaliśmy samych siebie moralnie i materjalnie, z czego to skorzystali „mili" sąsiedzi i przez rozbiory położyli kres temu bezrządowi. Przedtem byliśmy państwem wolnem i byliśmy sławni. Polska przez liczne wieki cieszyła się złotym okresem swego bytu, bogactw i rządów: Była przedmurzem chrześcijaństwa i — Europy. Przechodziła różne koleje swego istnienia, okresy licznych wojen, napadów nieprzyjacielskich i nierównych zmagań, ale i cudownych zwycięstw. Przechodziła dolę i niedolę.

Wszystkie te nieszczęścia zewnętrzne niczem były w porównaniu do nieszczęść, płynących z wewnętrznej niezgody, próżnej ambicji, rokoszów, chęci wyniesienia się i wzajemnych odwetów. Wzajemne ujadanie pożarło nas. Staliśmy się żertwą zazdrosnych płomieni naszych sąsiadów. Staliśmy się łupem potrójnego wroga, sami oddając mu się w niewolę. Nie umieliśmy sobie cenić długowiekowej wolności, gdyż łuska prywaty, chęć używania zasłoniła nam oczy na straszną rzeczywistość smutnych następstw naszego postępowania.

I kiedy miara naszych grzechów się przepełniła, straszne fatum dziejowe zawisło nad naszą Ojczyzną: Bóg postanowił ukarać ją utratą niepodległości. Do tego dzieła użył potrójnego miecza naszych sąsiadów, którzy stali się narzędziem Jego wyroku I my... potomkowie Piastów, Chrobrych, Jagiełłów i Sobieskich — staliśmy się niewolnikami... powolnymi narzędziami w ręku wroga. Wtedy dopiero zeszła nam łuska z oczu i poznaliśmy dokładnie, czem byliśmy dawniej, a czem teraz pod obcem jarzmem. Przez półtora wieku zajadaliśmy ostry i czerstwy chleb niewoli. Nabieraliśmy doświadczenia, jakiej wartości jest wolność i niepodległość i z jak bezdennie głupią lekkomyślnością postradaliśmy ją... To nas napawało oburzeniem i chęcią odwetu dla gnębicieli, to nam wkładało broń do ręki i pobudzało do wystąpień orężnych w formie powstań, rewolucji i t. p.

Pobudzała nas do tego tęsknota za utraconą wolnością i ta świadomość sromoty w jaką wtrąca niewola. Ale trudno nam było przeciw ościeniowi wierzgać... Pod przemożną władzą i zbrojnym naciskiem ciemięzców przypadaliśmy chwilowo do ziemi, by znowu nabrać tchu i z podwójnym wysiłkiem zerwać się do walki. Były to wysiłki bezowocne, jednak świadczące o naszym patrjotyźmie i pragnieniu odzyskania wolności. Były to lekcje niewolniczej szkoły, które nas bardzo wiele nauczyły, a pełni ich uświadomienia, dążyliśmy do lepszego jutra. Zorza tego jutra ukazała się nam nagle z wybuchem wojny światowej. Sławne legjony były wyrazem naszych dążności do upragnionej swobody. Były one zarodkiem wielkiej nadziei w możność odzyskania wolności. Były one wyrazem półtorawiekowej modlitwy uciśnionej rzeszy, były skrystalizowaniem pragnień naszych.

I Bóg w niezbadanych wyrokach Swoich postanowił z chaosu wojny wyprowadzić nam wolną Polskę. I powstała Ona, jakby z grobu, zrazu słaba i chwiejna a pełna trwogi, czy dzieci Jej potrafią zorjentować się w szczęściu Jej cudownego Zmartwychwstania i jąć się pracy owocnej nad Jej umacnianiem.

Radość nasza była nie do opisania. Wszystko, co żyło, zrzucało kajdany niewoli i strzepywało z szat proch jej nędzy. Powitaliśmy wolną Polskę.

Z niedowierzaniem w tak wielki cud patrzyliśmy, słuchając dalszych wieści co do jej dziejów. Ciemięzcy nasi, znękani bezowocnemi zapasami opuścili ręce z wyczerpania, poddając się mimowoli Wyrokom Opatrzności. Siła ich zczezła, moc ich zesłabła... Odruch i tężyzna w nas się przelała. Zrzucając obcą obrożę, szukaliśmy swoich niw wolności, swojego zapoczątkowania rządów. I z trudnością, ale stopniowo, pomimo kłód pod nogami. posuwaliśmy się naprzód ku lepszej przyszłości.

Początek zawsze trudny — tak było i z naszą odbudową Ojczyzny. Jednak przy silnych dłoniach i dobrej woli, nawa Polski zdumiewająco się wzmacniała, tak, że po dziesięciu latach dorobku niktby nie powiedział, że jest to państwo, powstałe na gruzach i zgliszczach wojny światowej. Jak cudem powstała, tak i cudem się rozwijała Polska kochana...

A teraz małe zapytanie: Jak my też cenimy sobie odzyskaną wolność?... Z ręką na sercu odpowiemy, że wielu synów Polski nie godni są Jej wolności. Bo cóżto oznaczają owe skargi, narzekania na Polskę. Ilużto wychwala pocichu i głośno rządy obcych. Cóż oznaczają te lamenty na biedę polską i na wszystko, co u nas jest? To wychwalanie obcych narodów, rządów, wyrobów, towarów? Czy to nie jest ironja i poniżenie dla naszej Polski. Przyznaję, że wiele dzieje się u nas nadużyć i wiele krzywdy. Ale kto temu winien? czy Polska. A któż tworzy tę Polskę?... Czy nie my — wszystkie stany społeczeństwa? Czy na to nas Pan Bóg wyswobodził, abyśmy znowu się sami poniewierali. Nie doceniamy Wolności — przeto źle jej używamy. Grasują w nas nadal stare wady, niezgody, polityka ujadań i kłótni wzajemnej. Stare walki według nowej metody. A dlaczego to wszystko? Bo nie umiemy, a raczej nie chcemy oprzeć życia na Prawie Bożem, które przedewszystkiem prowadzi narody do dobrobytu i szczęścia tu i poza grobem. Szukamy źródeł sanacyj tam, gdzie ich niema. Szukamy szczęścia bez Boga — a w ten sposób nigdzie go nie znajdziemy. Wróćmy na nowo do zachowania Prawa Bożego i Zasad Chrystusowych a zdziwimy się niepomiernie, jak w naszej Polsce wszystkiestany uczują się szczęśliwe i zadowolone. Oby to jak najprędzej się ziściło, tego Ojczyźnie życzy jej syn

Walenty Pasierb.

HENRYK RÓŻYCKI.

SMOK.

Powieść z zamierzchłej przeszłości na tle legendy wawelskiej.

— Niegodna to rzecz!...

— Ha... może i niegodna!... Ale radę muszę znaleźć na niego!

I wyszedł, zostawiwszy Kraka w rozterce.

Wrócił do Wiedźmy, zabrał trupa Bojana na ramiona i poszedł na zgliszcza.

Z pomocą Wiedźmy ułożył stos, razem z nią odprawił zwyczajem przyjętą objatę, wkońcu pogrzebał z popiołami Bojana urnę.

XIV.

W niepokoju i trwodzę przeszła jesień i zima, nastała wiosna, a z nią święto Łady, bogini kojarzenia i płodności.

Na obszerną polanę, nad brzegiem Wisły, wciśniętą klinem w odwieczny bór, pokrytą bujną trawą, poprzerastaną tu i ówdzie wysokimi badylami bylicy i kupkami wikliny, wychodziły z lasu grupkami, ubrane we wianki z żółtego rozchodniku albo macierzanki, przepasane naokoło bioder pękami bylicy, młode dziewice.

Niosły pełne narącza suchego drzewa, a oglądnąwszy się nie bez bojaźni na wszystkie strony, układały około wysokiej, wbitej w ziemię, owiniętej suchym chrustem tyki, ofiarny stos dla bogini miłości Łady.

Za nimi zjawiali się starsi, a przywitawszy się skinieniem głowy, siadali opodal na trawie i okryci wysokimi badylami bylicy gwarzyli cicho, aby młodym nie przeszkadzać w obrzędzie.

Słońce chyliło się za wierzchołki drzew, wydłużało cienie na murawie, a po upalnym dniu wionął z puszczy przyjemny chłodek.

Głosy ptasząt milkły, życie boru układało się na spoczynek nocny, a na źdźbła traw i liście drzew występowały obficie krople rosy, aby po upalnym dniu, odżywić spieczone, delikatne narządy bujnej roślinności.

Cisza zaległa okolicę i tylko wyraźniej występował poważny szum Wisły, który odbijany echem o drzewa biegł spotęgowany w bezkresną dal.

Wilja blada, z niezagojoną jeszcze raną po strzale normandzkiej, chociaż niechętnie, przecież wyszła z rówieśnicami, aby kąpielą w rzece i śpiewem przy ognisku uczcić boginię.

Święto Łady, dzień miłości i swatów... to też żadnej nie wolno pozostać w domu, ponieważ pogniewałaby boginię, w następstwie czego ominąłby ją mąż.

Święto zakochanych... Dzień, w którym szczodra bogini obdzieli dziewice mężami, a młodzieńcom da żony i pozwoli miłości używać do woli.

Więc niejednej serduszko uderzało raźniej na myśl, że pewnie dziś, wypadnie z ukrycia wyśniony młodzieniec, przeciągnie ją przez ognisko i pokłoni się ojcom na służbę.

Niejedna oczekiwała chwili, kiedy to, niby dognana w ucieczce, utonie w objęciach wybranego i bez świadków, osłonięta nocą, będzie słuchała pieszczotliwych słów i miłosnych pieszczot ukochanego.

Każda ciekawą była, komu się dostanie... Czy ten, którego obraz nosiła w sercu, będzie ją u jej ojców wysługiwał, czy też w inne ręce odda ją bogini i jakie?...

Każda drżała na myśl, że w zamieszaniu, jakie sprawią chłopcy gonitwą za nimi, może w cieniach nocy dostać nie tam, gdzie serduszko tęskni. A wtedy przepadło kochanie, bo woli bóstwa nie można się sprzeciwiać.

Wilja tylko obojętną była na przygotowania rówieśnic. Wiedziała, że ten, co zabrał jej serce, nie wybiegnie z zarośla, by ją brać, ani swatów nie pośle.

Na uroczystość poszła, ponieważ tak każe zwyczaj i wymagała tego szczodra bogini, lecz myślą była przy niebieskookiem cudzoziemcu i pytała w duchu:

— Czy wróci?

— Wróci! — odpowiadało jej coś w duszy.

Kąpiel weźmie, stanie w obrzędowy taniec i pieśni zawodzić będzie z dziewczętami, ale się uwieść nie da żadnemu.

Stała na boku, przyglądała się uganiającym rówieśnicom, a myślą nagle pobiegła na Tyn.

Pustka tam teraz i drogich jej sercu istot ani śladu.

— Bogowie!... Co zawinili Starżowie, żeście ich tak okropnie ukarali — szepnęła i zalała się łzami.

Dziewczęta ułożywszy wysoki stos drzewa, równo ze zmierzchem nocy wykąpały się w rzece, poczem przez tarcie dobyły ognia, a zapaliwszy stos, ujęły się za ręce i zatoczyły taniec, śpiewając smętnym głosem:

Pośrataj goście nasze;
Łado! Łado!
Pośrataj ich Łado, Kupało!
Tatusio wyszedł i pośratał,
Łado! Łado!
I pośratawszy, rzewnie zapłakał,
Łado, Kupało!
Szeregiem dziewczęta stały,
Łado! Łado!
U ognia kalinowego
Łado, Kupało!
I chłopca sobie obadały
Łado! Łado!
Synaczka rybakowego,
Łado, Kupało!

I w pląsach zataczały naokoło ogniska wolnym krokiem taniec, raz w jedną, potem w drugą stronę.

Naraz nad brzegiem poruszyły się krzaki i szmer rozchylanych gałęzi doleciał ich ucha.

To pewnie chłopcy ukryci czekają na sposobną chwilę, aby wypaść z nienacka i porwać wybraną.

Potem z lasu dochodził trzask suchych gałęzi.

Jakieś postacie majaczyły w mroku i zdawało im się, jakby jakieś głosy przynosił wiaterek...

— Starża, Bogorja, Jaksa... Zawołania rodowe, wyraźnie dawały się słyszeć.

Pieśń umilkła, a same stanęły cichutko i ześrodkowały uwagę w słuch.

Cisza.

Zdawało się pewnie... Nic nie słychać!... Wyobraźnia podrażniona oczekiwanemi rozkoszami i nic więcej...

Ale czemu nie widać chłopców?

Mrok dawno zapadł, północ musiała minąć, ponieważ gwiazdy najjaśniej błyszczą, ogień się dopala, a oni nie dają znaku o sobie...

— Czyżby?... Ale nie!

Pewnie są ukryci i tylko umyślnie się droczą, aby tem chętniej być przyjętemi...

Pieśń ozwała się znowu i taniec szedł równo.

Nraz zadudniała ziemia pod ciężkimi krokami.

— Biegną! — pomyślały i ze drżeniem rozkoszy i lęku czekały.

Już!... Już trzeba uciekać, aby nie dać poznać, że chętnie dają się łapać.

Rozluźniły koło i z piskiem rozbiegły się na wszystkie strony, kierując się w zarośla.

Nagle stanęły.

— Co to?... To nie oczekiwani chłopcy!...

Jakieś postacie zaszyte w skóry ujrzały przed sobą...

W jednej chwili poznały przybyszów.

To jego ludzie...

W panicznym strachu rzuciły się do ucieczki.

Było zapóźno.

— — — — — — — — — — — — —

Seming gniewny, że ludność schroniła się w niedostępne lasy, nie mając komu władać po spaleniu i wyrżnięciu Starżów, postanowił polować na zbiegów i siłą zmuszać ich do osiedlenia się po opuszczonych słobodach i siołach.

Dzisiaj z częścią załogi popłynął w dół rzeki i rozpuścił zagony w puszczę.

O zmierzchu wróciły do łodzi wysłane watachy z próżnemi rękami.

Przedzierając się przez zarośla, spotykali tylko ślady, ale ludzie jakby się w ziemię zapadli przed nimi, ponieważ nikogo nawet nie zobaczyli.

Dopalające się ogniska, pomięta trawa, szałasy budowane naprędce z gałęzi, resztki jedzenia, albo nawet napoły odarte ze skóry zwierzęta, świadczyły, że mieszkańcy, spłoszeni, niedawno umknęli.

Czasem zdawało im się, że pomiędzy drzewa mignął szary samodział tubylca, zaszeleściały z boku liście zarośla, albo zakołysała się gwałtownie trawa. Czasem trzask suchych gałązek, jakby deptanych stopą, dolatywał ich ucha, a wtedy biegli w tę stronę, przeszukiwali miejsce koło miejsca, ale oprócz śladów, w postaci połamanych łodyg wysokiej trawy, lub odcisków stóp na mchu, żadnej żywej istoty nie mogli napotkać.

— Zaczarowani, czy co? — szeptali wtedy z trwogą.

Innym razem znowu przeleciała któremuś koło ucha ze świstem strzała i upadła nieszkodliwie na murawę. A wtedy bladzi, w strachu przed zasadzką, skupiali się, gotowali oszczepy i łuki do strzału i poglądali, skąd wróg na nich wypadnie. Wtedy rozdzierał powietrze przeraźliwy krzyk sojki, odpowiadał mu głos sowy, albo skowyt wilka, a wszystko bliskie i nieuchwytne.

— Śledzą nas i lepiej nie zapuszczać się w nieznane okolice, a ino patrzeć, jak nam spadną na karki! — mówili.

Lecz zasadzki nie było... Brak było takiego, coby tlejący żar rozdmuchał w płomienie. Nie było... wodza!...

Zmęczeni, z podartemi skórami na sobie i podrapanemi twarzami wrócili, nie skorzystawszy nic.

Seming wściekły, że wyprawa się nie udała, siadł do łodzi z postanowieniem ponowienia nazajutrz wycieczki, lecz tym razem w górę Tynu.

— Tam są liczne sioła, więc nabiorę luda do budowy grodu, stworzę liczną drużynę wojowników i zmuszę całą krainę do uległości — myślał.

W zmierzchu nocnym, trzymając się brzegu, płynęli z powrotem do groty wawelskiej.

Księżyc wypłynął na ciemny lazur nieba, rzucił chojnie na falę potoki srebra, ustroił błękitem odsypiska żwirowe, a obrosłe wikliną brzegi oznaczył w dole czarną tajemniczą wstęgą.

Nagle pomiędzy zarośla zamajaczyło światełko ogniska.

Obok drugie, trzecie... dziesiąte...

Podpłynęli ostrożnie do brzegu i pomiędzy zarośla zapuścili swe dzikie spojrzenia.

Na rozległej polanie z zapalonemi pękami łoziny lub choiny, z pieśnią na ustach, z wybuchami śmiechu i chałasu, biegali młodzi ludzie, wywijali palącemi się w ich rękach głowniami kręgi, rzucali je wysoko w powietrze, gonili do mety, albo przeskakiwali duże ognisko, palące się na środku uroczyska.

Rosłe, gibkie ich postacie, oblane snopami czerwonego światła, odbijały fantastycznie na czarneej czeluści boru i w potokach iskier wyglądali jak pokutujące duchy, którym za karę pośród ognia kazano wyprawiać harce.

Skuba z mieczem u boku i ze siekierą za pasem, na które poglądali łakomie towarzysze, wsparty na oszczepie, stał na boku smutny i tylko ciekawie śledził bieg zabawy.

W myśli rozbierał zeszłoroczne święto, gonitwę za Salwidą, miłosne szepty w samotności, nadzieje na przyszłość, potem wieczory, spędzone spólnie u ogniska Bojana, wkońcu nagi okrwawiony jej trup, a pod ścianą jaskini on... jej morderca...

W niemej rozpaczy zacisnął zęby, a gruba łza spłynęła mu po policzku.

Zajęty sobą, patrzał wprawdzie na igrzyska rówieśników, ale wyobraźnia jego nie przyjmowała wypadków z pobliskiego otoczenia. Nie zauważył też, że zarośla miejscami zakołysały się gwałtownie, a czarne sylwety zamajaczyły na tle boru.

Naraz krzyk obudził go z zadumy.

Chłopcy rzucali żagwie i w popłochu rozbiegali się na wszystkie strony, a za nimi gonili zbrojni ludzie, z rogami tura na głowie.

Zatrząsł się cały.

Oglądnął się za siebie.

Byli otoczeni ze wszystkich stron..

W jednej chwili pojął, że muszą wybierać niewolę, albo śmierć.

W jedną rękę ujął oszczep, a w drugą miecz — i skoczył na najbliższego napastnika.

Miecz błysnął w świetle ogniska, głuchy zgrzyt żelaza na kości i krzyk rozdarł powietrze, następnie drugi, trzeci... dziesiąty...

(Ciąg dalszy nastąpi).



Wynik konkursu „Roli“.

Rokrocznie ogłasza Redakcja „Roli“ konkurs na utwór prozą o dowolnej treści celem zachęcenia Czytelników do chwycenia za pióro i przelania swych myśli na papier. Ogłaszając taki konkurs, zgóry jesteśmy przygotowani na to, że do konkursu tego nie staną jacyś potentaci literaccy, bo żaden z nich nie uchciwi się na taką nagrodę, jaką jest książka powieściowa. Uznane mniejsze lub większe sławy patrzą na zysk materjalny, więc na nich z zasady nie liczymy. Nam rozchodzi się o wyławianie talentów, może dopiero kiełkujących, które jednak w przyszłości rozwinąć się mogą i rozbłysnąć na tle literatury polskiej. I żadanie to konkursy nasze spełniają w zupełności. Chwyta za pióro inteligent, chwyta robotnik, chwyta wieśniak, czy wieśniaczka i kreśli wizje swej fantazji i z całem zaufaniem, często przepełnione błędami gramatycznemi i ortograficznemi, przesyła do Redakcji, czekając na ocenę wyniku swej pracy. Są wśród tych utworów prace bez zarzutu, są i rzeczy bardzo słabe, ale nawet najsłabsza z nich świadczy o dobrej woli, o chęci przysłużenia się szlachetnej sprawie. I utwory te czytamy raczej sercem, aniżeli krytycznym umysłem. Każdy z nich cieszy nas, bo wiemy że niejednokrotnie ten, który poraz pierwszy przysłał rzecz bardzo słabiutką, w przyszłości zdobędzie się na coś zupełnie dobrego.

Pod tym kątem widzenia przystępujemy do oceny i tegorocznego plonu konkursowego.

Jakeśmy to już uwidaczniali w poprzednich numerach „Roli“, na konkurs nadesłano 34 utwory o rozmaitej treści. Na pierwsze miejsce wybijają się prace p. Władysława Wojtasika p. t. „Sprawiedliwie“ i „Przy orce“. Tematy wzięte z życia ludu wiejskiego, opracowane starannie, o treści zajmującej i głębszej myśli.

Bardzo dowcipne i pomysłowo „wygłał“ się z konkursu p. Mieczysław Stawarz w utworze p. t. „Bez tytułu“. Rzecz stylistycznie dobrze opracowana, napisana zajmująco.

Znana Czytelnikom poetka i przyjaciółka „Roli“ Kachna Ł. Łza w utworze p. t. „Kłamstwo“ porusza myśl kłamstwa w szlachetnym celu, a choć myśli swej nie wypowiada jasno, kłamstwo to niejako sankcjonuje. Treść zajmująca, styl poprawny.

W krótkim obrazku p. t. „Przyszedł“ Maryśka z Kamionki maluje przeogromną siłę uczucia w barwnem opowiadaniu.

P. Franciszek Surówka w dwóch utworach, wziętych z życia codziennego, p. t. „Akwarela“ i „Obłąkanie“ stylem bez zarzutu maluje miłe i zajmujące obrazki.

Na temat poważny napisali swe utwory pp. Walenty Pasierb („Jak my sobie cenimy wolność naszej Ojczyzny?“) i Piotr Wenc („Z przeszłości Biecza“ i „Prasa“). Opracowanie staranne, treść aktualna.

Satyrą na obecnie panujące stosunki polityczne jest utwór p. t. „Fata-morgana“ nadesłany pod pseudonimem „Homankulus“. Poprawny styl i treść zajmująca wyróżniają go z pośród utworów dalszych.

P. Franciszek Macioł, znany Czytelnikom naszym poeta wiejski, popróbował na konkurs swego pióra prozą i w miłym obrazku kreśli losy nieszczęśliwej „Zośki“.

Powyższym dziewięciu Autorkom i Autorom postanowiło Wydawnictwo „Roli“ przyznać skromne nagrody w postaci książek powieściowych. Nie jest to wynagrodzenie żadne, a jedynie pamiątka dokonanej pracy.

Ale i oprócz powyższych utworów otrzymaliśmy jeszcze kilka prac, zasługujących na wyróżnienie i druk, a mianowicie: „Jak to Jacentową wyleczono?“ (Kachna Ł. Łza), dramat opowiedziany na wesoło; „Wśród naszych postaci“ (Maryla „Widz“), opowieść wykazująca, że i wśród nędzy może znajdować się prawdziwe szczęście; „Nasze wady narodowe“ (Władysław Benias), artykuł bardzo dobry i na czasie, jednak zbyt długi, więc omijający jeden z warunków konkursu; „Poświęcenie“ i „Dziecko ulicy“ (Marja Wawrzykówna) dwa obrazki barwnie i zajmująco napisane; „Kuba-tchórz“ (Władysław Zaręba), ciekawe zdarzenie pastucha; „Nauczył się kraść“ (Stanisław Cebula), humoreska, zajmująco opowiedziana; „Przejął go jego ostatni głos“ (Józef Kapuściński), opowieść z ostatniej wojny; „Powrócił“ (Henryk Biłka-Głębicki), również opowieść z ostatniej wojny; „W jaskini zbójców“ (Jan Majewski), opowiadanie z XVIII wieku i „Słonecko zasło“ (Władysław Mirek) drobiazg, jakkolwiek zbyt urywkowo jednak zajmująco napisany. Tu należy jeszcze dodać drukowany w świątecznym numerze „Roli“ utwór p. Antoniego St. Szymańskiego p. t. „Choinka Jagusi“.

Do kosza poszło prac dziesięć. Nie wymieniając autorów, zaznaczymy tylko, dlaczego tak się stało. A więc utwór p. t. „Jaśku będę twoją“ napisany stylistycznie dobrze, ale na czterech stronach pisma słów tak wiele, a treści zbyt mało. „Moda“ rzecz niestosowna do „Roli“ posiadająca niektóre wyrażenia zbyt jaskrawe. „Gwiazdka Antosia“ — treść dobra, myśl dobra, styl poprawny, lecz rzecz stosowna dla pisemka dla małych dzieci, a nie dla „Roli“. Od początku do końca utworu niema ani jednego odstępu. „Helusia“: Opracowanie dość dobre, ale brak głębszej myśli. Początek niezły dla pisemka dla dzieci, zakończenie psuje jednak całość. Liczne błędy ortograficzne i gramatyczne. „Antoś i szczęście“: Treść błaha, styl nierówny, opracowanie słabe. „Piotruś“: Rzecz nieprawdopodobna, gdyż w Polsce nigdy czarnych ludożerców nie było. Styl słaby. „Syn Ojczyzny“: Opowiadanie słabe, historycznie nieprawdziwe, gdyż Polacy w pościgu za bolszewikami ani nad Berezynę, ani nad Dniepr nie dotarli. „To dla Ojczyzny“: Temat oklepany. „Szwab i Rusin“: Rzecz błaha, dla nieznających języka niemieckiego niezrozumiała. „Powrót z Sybiru“: Obrazek dobrze napisany, ale brak w nim głębszej myśli. Bo to, że tam ktoś wrócił z niewoli i zastał w domu żonę, jeszcze nic nie mówi.

Pomimo, że te dziesięć utworów poszło do kosza, nie znaczy to, aby były one zupełnie bez wartości, owszem posiadały pewne zalety, ale więcej usterek, musieliśmy je więc odrzucić. Nie powinno to jednak zrażać autorów odrzuconych prac, ale owszem zachęcić ich do większego wysiłku, aby w przyszłości potrafili uniknąć popełnianych błędów.

ŚWIĘTO JORDANU.



Jak wiadomo, starszym od Pana Jezusa o sześć miesięcy był św. Jan Chrzciciel, syn Zacharjasza, kapłana żydowskiego i Elżbiety. W młodym wieku udał się na pustynię i tam prowadził życie bardzo surowe, spędzając czas na modlitwie. Później wystąpił publicznie i zachęcał ludzi do pokuty. Tych zaś, którzy żałowali za grzechy i obiecywali się poprawić, chrzcił wodą z Jordanu. Między innymi chrztu takiego udzielił i P. Jezusowi. Pamiątkę tego chrztu obchodzą uroczyście Rusini, zowiąc ją świętem Jordanu. W uroczystej procesji idą nad rzekę lub staw, gdzie kapłani poświęcają wodę. Taką procesję widzimy na naszym obrazku.



MACIEK BZDURA GADA:

W samo święto świętych Trzech Króli opowiadał nam prefesur gadkę o jednej dzieuse, co zostala dziedzicką. A ze mi się nietyle gadka, co dzieucha podobała, więc wam ją powtórzę. A było to tak:

W pewnej wsi zyło dwóch sąsiadów: młynarz i pasterz, co się okrutnie nie lubieli. A wszyćko to posło o gadzinę, co ją pasterz pasał na paświsku, które się ciągło kole pola młynarzowego. A był w tej wsi pan dworski, który sądził ludzi, jak było potrzeba.

Ano, gadzina pasterzowa właziła nieraz na młynarzowe pole, a młynarz nuze do dziedzica na skargę. Wołają pastyrza do dworu, pan na niego krzycy, skodę młynarzowi zapłacić kaze. Ano, co miał biedak robić!

Powtarzało się to kilka razy, jaz się wreście pan poznał na tem, ze moze pasterz i nie winien tyle, ino ze młynarz przez złość ze skargą leciał. Kiedy więc jesce raz przyśli na rozsądzenie, tak pada:

— Ja tam juz wam radzić nijak nie mogę, ale wiecie co: ten z was wygra, kto mi jutro powie, co jest na świecie najdrozsego, najsłodsego i najtłuściejsego?

Pasterz poskrobał się w głowę, bo nie wiedział, co mu rzec przyjdzie, a młynarz rozweselony sed do chałupy i powiadał: „No teraz dam ja ci bobu!"

Ledwie pasterz przysed do chałupy, a córka zujrzała go takiego zafrasowanego, tak powiada:

— Co wam to tatusiu, cego się tak martwicie?

Pasterz opowiedział jej, co i jak.

— I o to byście się martwili — powiada córka. — Idźcie spać, a jutro rano ja wam wszyćko powiem.

I tak się stało, jak powiedziała. Córka pasterzowa opedziała pasterzowi, a ten weselsy posed z młynarzem do pana na sądzenie.

Odłącył ich pan obu, aby nie słysał drugi, co pirsy powiada, i pyta najpierw młynarza. A młynarz prawi, ze najdrozse są piniądze, najsłodsy miód, a najtłuściejsa świnia.

Pan się ino uśmichnął na to i woła pastyrza, a ten prawi, ze najdrozsa jest cnota i ućciwość, najsłodse spanie, a najtłuściejse są ludzkie dobre uczynki, za które Pan Bóg daje niebo.

— Zgadłeś — powiada pan — ale przyznaj się, ze to nie z twojej głowy.

Nie chciał się pasterz przyznać, ale kiedy mu pan zagroził, tedy powiada, ze go córka tak naucyła.

— Ano — mówi pan — kiedy twoja córka taka mądra, to jej powiedz, zeby jutro do mnie przyjechała i nie przyjechała, zeby mi dała podarunek i nie dała podarunku, i zeby nie przyjechała w dzień ani w nocy. Jak mi ona tego nie zrobi, toś sprawę przegrał.

Zasumował się pasterz, posed do chałpy i opedział wszyćko swojej dziopie.

— Bidnyz ja, bidny — lamentował, ale córka mu pada:

— Jak ino tyle, to się nie turbujcie, tatusiu. Przyprowadźcie mi ino kozę, schwytajcie ptaka, a o reśtę się nie kłopoćcie. Juz ja se dam radę.

Nazajutrz raniuśko, gdy jesce słońce nie zesło, a dopiero się widno robiło tak, ze nie był to ani dzień, ani noc, wstał pan dziedzic, jako zwycajnie. Patrzy przez okno, a tu córka pasterzowa jedzie na kozie, a nogami idzie po ziemi; przyjezdza pod okno i podaje mu ptaka, pusca go z ręki, a ptak frrrrr... Tedy rzekła do pana:

— Tom zrobiła, jako pan kazał. Przyjechałam i nie przyjechała, bom siedziała na kozie, a nogami słam po ziemi; dałam podarunek i nie dała, bo ptak frunął i nie jechałam ani we dnie, ani w nocy, bo teraz nie jest dzień, ani noc.

— Kiedyś ty taka mądra — powiada pan — to musis być moją zoną; ino se to wymawiam, ze się nie będzies wtrącała do moich jenteresów.

Dali na opowiedzi, odbyło się wesele i zyli scęśliwie parę lat. Ale młynarzowi zazdrość było tego, wypatrzył więc, ze pana nie było i przysed do dworu ze skargą i powiada do córki pasterzowej, a teraz pani dziedzicki:

— Przyjechał do mnie wędrowny furman i przyjąłem go na noc do stajni. Az tu w tej stajni oźrebiła się jego kobyła i on gada, ze źrebię jest jego, bo kobyła jego; ja zaś mówię, ze źrebie moje, bo w mojej stajni się ulęgło. Prosę osądzić, kto ma prawdę.

— O nie macie prawdy — mówi na to pani — bo on wam za nocleg zapłacił i choć w wasej stajni oźrebiła się jego kobyła, to źrebię jest jego, bo on stajnię wynajął i tak, jakby jego była wtedy.

Dobrze rozsądziła pani, ale młynarzowi nie o to chodziło. Wiedział, ze się dziedzicce nie wolno było misać do nieswoich spraw, przysed więc nazajutrz do dziedzica ze skargą na dziedzickę.

Pan się rozeźlił i powiada:

— Mówiłem ci, jak my się zenili, ize ci się nie wolno wtrącać do moich jenteresów. Za karę wyjedzies do inksego folwarku i juz mnie nigdy więcej widzieć nie będzies.

Padła pani panu do nóg i prosiła, aby jej od siebie nie odpędzał, ale on nie dał się ubłagać. Pozwolił jej zabrać z domu tylko to, co najbardziej kocha i lubi.

Gdy jedli ostatni obiad, córka pasterzowa nasypała mu do rosołu śpiących kropli, a kiedy usnął po nich, kazała zaprządz do brycki i przenieść śpiącego pana pocichu na nią. Sama tez siadła i pojechała do drugiego folwarku. Gdy się dziedzic obudził, spostrzegł, ze jest nie w swoim pokoju. Obejrzał się i ujrzał zonę.

— Dlacegoś mnie tu przywiozła? — wrzaśnie, a ona powiada:

— Pozwoliłeś mi przecie wziąć ze sobą, co najbardziej lubię i kocham, to ja wzięłam ciebie.

Uśmiechnął się pan ino na takie powiedzenie, bo przekonał się, ze z głupią babą mało kto se poradzi, a z mądrą nikt, tak powiada:

— Widzę, ześ kuta na śtyry kopyta! Ano siadajmy znowu na wóz i jedźwa do chałpy.

Ano tak przyjechali z powrotem do domu i żyli tak scęśliwie, ze co roku przybywał jeden nowy dziedzić we dworze.

PODRÓŻ PO DALEKICH KRAJACH.

Zanzibar VI.

Zanim opuścimy Zanzibar, aby się przenieść w inne strony świata, podajemy naszym Czytelnikom jeszcze dwa obrazki. Na pierwszym z nich widzimy drogę do Ukazi pośród akacyj, na drugim przeprawę przez rzekę Geringere. Tak jeden, jak i drugi widoczek, są bardzo piękne.

Mówiliśmy już poprzednio, że na Zanzibarze niema takich dróg, jak u nas i podaliśmy most z lian na jednej z tamtejszych rzek. Ale nie wszędzie są takie mosty, chcąc więc przedostać się z jednego brzegu na drugi, trzeba czynić to wpław, co niezawsze jest bezpieczne ze względu na krokodyle, jakie mają swą siedzibę w rzekach tamtejszych. Ale krajowcy, zanim zapuszczą się w nurty wody, badają naprzód dość duży odcinek wody, a gdy się przekonają, że nie grozi im żadne niebezpieczeństwo ze strony krokodyli, a potem zapuszczają się śmiało w nurty wody. Nie wyklucza to jednak, że tam od czasu do czasu ten i ów stanie się pastwą tych żarłocznych gadów.



Przeprawa przez rzekę Geringere.

Na drugim obrazku widzimy również podróżujących murzynów, ale tym razem wśród cienia rozłożystych akacyj. Niosą oni na głowach towary, a zdala przypatrują się im ciekawie żyrafy, zastanawiające się zapewne, kogo mają przed sobą: czy wroga, czy też spokojnych przechodniów. Obserwują bacznie, a za najmniejszym podejrzanym ruchem uciekają co żywo na swych długich nogach.

Opisując Zanzibar, trudno pominąć bardzo rozpowszechnione ta mzwierzęta, jakiemi są małpy. Zwinne te zwierzątka całemi gromadami uganiają po drzewach, wspinają się po nich, wyprawiają najróżnorodniejsze harce, a człowieka nie bardzo się lękają. Zdarzają się wypadki, że same go zaczepiają, rzucając doń jakimś owocem lub kawałkiem gałązki. Czynią to przeważnie nie z jakiejś złośliwości, ale poprostu z figlów.



Droga do Ukazi.

Groźniejszym przeciwnikiem dla człowieka od małp są tam pewne owady, należące do gatunku much, zwane „cece". Jest to mała, ciemna muszka, której ukąszenie, aczkolwiek bardzo bolesne, nie jest zabójcze dla człowieka, dla dzikich zwierząt, kóz i cieląt, ale śmeirtelne dla koni, osłów, wołów i owiec. Nadzwyczajne to zajwisko dotąd nie zostało zbadane. Muszki te rzucają się na człowieka i gromadami go obsiadają. Ból, jaki sprawiają, jest dolegliwy, ale trwa krótko i nie pozostawia śladu. Jest to jedna z największych plag Afryki, szczęściem, że jest ograniczona do pewnych tylko miejsc, za które nie przechodzi nigdy. Łatwo jej więc uniknąć.

Jeszcze jako jedną osobliwość Zanzibaru trzeba przytoczyć rzekę Msue, która przez większą część roku nie posiada wody, ale gdy przyjdzie pora deszczowa, wylewa do tego stopnia, że tworzy nieprzebyte bagno, a tu i ówdzie pozostawia po sobie pamiątkę jeziora na cały rok, które są prawdziwemi zbiornikami wody, obfitującemi w liczne ryby. Jest tu przedewszystkiem duża ryba, podobna do naszego suma, którą krajowcy zowią kambri. Nad brzegami takich jezior rosną laski, w których termity (rodzaj dużych mrówek) urabiają swoje piramidalne nasypy.

Ten piękny, choć dziki kraj, starają się misjonarze ucywilizować i uczynić go, jeżeli już nie rajem ziemskim, to przynajmniej miłą siedzibą ludzką. Nauczają, wspierają, dają dobry przykład, a pozatem wychowują całe masy młodych murzyniąt, porzucanych tak często wśród lasów przez wyrodne matki na pastwę dzikiem zwierzętom. Nietylko sami je zbierają, ale nawet kupują od krajowców, aby te małe istotki wychować i jako tako wy-

kształcić. Kiedy mają kilku już takich dorosłych wychowanków, idą z nimi do jakiegoś sprzyjającego im naczelnika plemienia i tam kupują dla nich nieuprawną ziemię i uzyskują pozwolenie na osiedlenie się. Wychowankowie ci (oczywiście już chrześcijanie) z całą rozkoszą karczują ziemię, uprawiają pole, stawiają domy i zakładają nową osadę. A gdy osada już jest ukończona, powracają do zakładu wychowawczego, skąd biorą sobie żony i powracają z nimi razem do chat własnych. Tak tworzy się jednym zachodem kilkanaście par chrześcijańskich, wprawdzie biednych, ale szczęśliwych, stokroć szczęśliwszych od swych współbraci, którzy dalej żyją w ciemnocie i dzikości.

Osady te są rozsadnikami cywilizacji i chrystjanizmu. Mieszkańcy ich zawierają przyjaźń z swymi sąsiadami i pociągają ich swym przykładem do życia wyższego, ułatwiając tym sposobem wielkie prace misjonarzom. Niejednokrotnie mężczyźni pojmują za żony poganki z sąsiednich osad z tem, że te przed ślubem muszą poznać zasady prawdziwej wiary i chrzest święty przyjąć. (Ciąg dalszy nastąpi.)

Zaklęty dwór.

Powieść z przeszłego stulecia podług Walerego Łozińskiego.

II.

Klucznik zaklętego dworu.

Nowy, niespodziewany gość zatrzymał się chwilkę nieruchomo przy drzwiach i badawczem po całej szynkowni potoczył okiem, jak gdyby kogoś szukał lub się czegoś zawahał u wnijścia.

Z twarzy widać było jednak, iż pewno z okładem przeszedł już krzyżyk piąty.

Na sobie miał zwyczajny w tych stronach strój chłopski, szarą szermięgę, szerokim przepasaną rzemieniem, buty z wywróconemi u góry cholewami, czarny pilśniowy kapelusz z szerokiemi krysami i czerwony sznurkiem dokoła.

— Pal go licho, to jakiś prawdziwy klucznik czartowski! — wyszepnął nasz nieznajomy wędrowiec, który jak się spodziewać można, — w jednej chwili obejrzał go ciekawie od stóp do głowy, a ochłonąwszy z pierwszego swego, pomimowolnego jakiegoś wrażenia, posunął się o krok naprzód ku nowoprzybyłemu.

Z reszty obecnych nikt nie śmiał ani spojrzeć na strasznego olbrzyma, tylko ów maziarz, co tak głośno do niedawna rej wodził, a całej rozmowie o zaklętym dworze w obojętnem przysłuchiwał się milczeniu, porwał się nagle z swego siedzenia, a jakiś zagadkowy wyraz ciekawości i niepokoju przemknął mu po twarzy.

— Jak się macie, Kostiu! — odezwał się poufale, wracacie z Sambora?

Kost kiwnął głową na znak potwierdzenia.

— A nie potrzebujecie też mazi? — pytał maziarz dalej, a oczy jego jakieś osobliwsze wyrażały oczekiwanie.

— Nie, nie wyszła mi jeszcze dawniejsza — odpowiedział obojętnie klucznik.

W tej chwili jednak wydawało się naszemu nieznajomemu wędrowcowi, który stojąc w pobliżu, śledził z uwagą każde poruszenie starego klucznika, że ten jakiś dziwny, zagadkowy znak zrobił nagle maziarzowi.

Nieznajomy obrócił się szybko ku maziarzowi i spotkał się z nim oko w oko. I teraz dopiero uderzyła go niespostrzeżona dotąd postać znanego nam kuma Dmytra.

Nieznajomy cofnął się nagle zdumiony, bo mu się zdało, że i ten w tejże chwili wymienił z klucznikiem jakiś tajny znak porozumienia.

— Cóż to może znaczyć? — wycedził przez zęby i badawcze w maziarzu utkwił spojrzenie.

Ale i ten jednocześnie z tak szczególniejszym jakimś wyrazem spojrzał mu w oczy, że nieznajomy nasz wędrowiec w wykrzywionych butach mimowolnie w dół spuścił oczy.

Chciał coś przemówić, ale maziarz obrócił się już do stołu i wesoło zawołał do swych towarzyszy:

— No, bywajcie mi zdrowi panowie gromada, miejcie się dobrze.

I w jednym momencie uściskał serdecznie wójta, podał rękę kolejno wszystkim siedzącym przy stole, zapłacił swój dług i jak strzała wypadł z szynkowni.

I znowu zdało się naszemu nieznajomemu wędrowcowi, że na samem wyjściu nowy jakiś tajemnicy znak wymienił z klucznikiem.

— Kto jest ten człowiek, co wyszedł teraz? — zapytał nagle, zwracając się do żyda.

Stary klucznik miał już odchodzić od szynkwasu, ale zatrzymał się na to pytanie i spojrzał uważnie na pytającego.

— To kum Dmytro, maziarz — odpowiedział żyd.

— A skąd on jest? — pytał dalej nieznajomy.

— A któż go tam wie — odparł organista, wzruszając ramionami — wozi wyborną maź od wsi do wsi, sprzedaje taniej niż w mieście, kredytuje każdemu, kto chce i nie chce, a sam wszystko płaci gotówką.

— Szczególna! — mruknął nieznajomy i znowu ciekawie wpatrzył się w olbrzymiego klucznika. Nagle jakaś myśl strzeliła mu do głowy.

— Hej, Kostiu! — rzekł żywo, zastępując drogę olbrzymowi. — Wyście tu wozem?

— Albo co? — odciął krótko klucznik.

— Musicie mię wziąć z sobą do Żwirowa!

— Co? jak? — zapytał klucznik.

Nieznajomy wyprostował się i odchrząknął głośno.

— Idę do waszego pana — rzekł z pewnym naciskiem.

Klucznik o krok cofnął się w tył i spojrzał na nieznajomego wzrokiem, który komu innemu niezawodnie poplątałby język w gębie.

— Do kogo? — powtórzył wreszcie.

— Do waszego dziedzica, mówię.

Klucznik coś niezrozumiale mruknął przez zęby.

Niezbity z tonu nieznajomy ciągnął dalej z drwiącą niemal poufałością:

— Otóż mój szanowny Kostiu Buliju, kluczniku zaklętego czyli przeklętego dworu, tytułem przyszłej znajomości i przyjaźni, odwieziecie mię z łaski swojej do ekonoma, do mandatarjusza, lub jakiegokolwiek innego czorta, a ten mię już odeśle do dziedzica.

Kost Bulij z wielką uwagą wpatrzył się w nieznajomego i nie rzekł ani słowa.

— No jakże?... — pytał tenże, biorąc już swe zawiniątko na plecy.

Klucznik zawahał się czegoś.

— Skądżeto znacie naszego dziedzica? — zapytał po chwili.

— Ho, ho! Szerokoby o tem mówić — zawołał nieznajomy. — Jestem ty a ty z waszym dziedzicem.

Organista spojrzał na wykrzywione buty i krótkie rękawy nieznajomego i jakoś z niedowierzaniem wydął wargi, klucznik wzruszył ramionami i nie rzekł ani słowa.

— Ale co tam — przerwał sobie nagle podróżny. — Jedźmy lepiej! Podwieziecie mię przecież — dorzucił tonem, który żadnej już nie dozwalał odmowy.

— Ta — wybąknął klucznik.

Nieznajomy wywinął sękatą swą laską młyńca w powietrzu, poprawił zawiniątko na plecach, czapkę głębiej zasadził na tył i postąpił ochoczo za klucznikiem, który nie mówiąc już ani słowa, zmierzał ku drzwiom.

— A za wódkę? — nagabnął organista, zachodząc z boku nieznajomemu.

— Później, jak będę kiedy przejeżdżał tędy — odparł niezmieszany i z takim świstem zamachnął znowu swoją laską, że biedny organista jak mógł najprędzej cofnął się za swój szynkwas obronny.

Na mostku przed karczmą czekał wysoko wyścielony wóz z podolskim koszem plecionym, uprzężony dwoma rączymi końmi. Klucznik z rzadką na swój wiek i tuszę zręcznością wskoczył w siedzenie, ale przed nim jeszcze znalazł się już tam nasz nieznajomy.

— Pojedziemy tedy! — rzekł, klepiąc swego woźnicę łaskawie po ramieniu.

Klucznik znowu spojrzał na natręta, ale ten nie lada czem dał się, jak to mówią, zbić z tropu.

Wóz toczył się szybko po bitym gościńcu, a niebawem stanął na zakręcie do prywatnej drogi ubocznej. Tu jednocześnie jakaś inna zbaczała fura. Był to mały, słomianą plecionką okryty z wierzchu wóz, uprzężony jednym małym, pstrokatym koniem, a powożony przez człowieka, którego twarz zasłaniały szerokie krysy kapelusza. Oba wozy mijały się, ocierając jeden o drugi. W tej chwili podniósł głowę woźnica jednokonki, a nasz nieznajomy poznał maziarza z ryczychowskiej karczmy. I znowu przysiągłby, że między nim a klucznikiem przeleciał w pośpiechu jakiś nowy tajemny znak porozumienia.

— Ho, ho, to i ten maziarz coś zmierza ku Żwirowu — odezwał się wreszcie.

Klucznik nic nie odpowiedział, tylko rzucił na pytającego spojrzenie, które zdawało się mówić: Milczże raz, jeśli nie chcesz zlecieć z wozu.

Nieznajomy ucichł, ale nie na długo, rozochocony raź język świerzbiał go nad siły.

— Czy dwór ten dawno już stoi pusto?

— Od pięciu lat — odpowiedział klucznik, a jakoś mimowolnie silniej zmarszczył czoło.

— Jakto od lat pięciu, kiedy dopiero trzy lata, jak nowy dziedzic objął posiadłość.

— Tak, ale nieboszczyk starościc, na dwa lata przed swym zgonem wyjechał był za granicę.

— I gdzież umarł?

— W Dreźnie — odpowiedział starzec szybko, jakby chciał przykre jakieś przytłumić wspomnienie.

— A wyście byli przy jego śmierci?

— Skonał na moim ręku — odparł szorstko, prawie obrażony i zdziwiony tem zapytaniem.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

MARYŚKA Z KAMIONKI.

Żądza rybałta.

Gwizdnął na palcu, a w tej chwili mały, gruby, z rożkami na głowie przybiegł człowieczek i przyniósł strój troisty.

Marcin wybrał oficerski, ubrał się, podkręcił wąsika i czekał.



— A odrzuciłeś tę blaszkę, co ci wisiała na szyi? zapytał nowy jego opiekun.

— Nie!

— Tfu!... Tfu!... Odrzuć to!

— Nie! Tego nie zrobię. To nie jest żadna blaszka, ale medalik Matki Boskiej, który mi matka dała w dniu przyjęcia pierwszej Komunji świętej.

Paniczyk podskoczył w górę na te słowa, jakby go coś ukąsiło i zawołał:

— Paskudniku! Jak tego nie odrzucisz, to nie dostaniesz złota i nie zaprowadzę cię do grona pięknych naszych cór i sióstr.

— Teraz nie odrzucę, może aż później.

— No to chodź ze mną, ale oczy zamknij i nie myśl o niczem.

Marcin był posłuszny i szedł w milczeniu za swym przewodnikiem. Po niejakiej chwili usłyszał z wnętrza zamku wesołe śmiechy i brzęk szkła, oraz muzykę.

Przewodnik jego otworzył podwoje i wprowadził w nie oszołomionego rybałta. Zaprowadził go do jednej z bocznych sal, gdzie stały olbrzymie kosze, napełnione po brzegi złotem, perłami i innemi kosztownościami.

Och! żeby dostać choć jeden kosz! — pomyślał sobie Marcin.

— Gdy będziesz mądry — ozwał się paniczyk, jakby odgadując myśli rybałta, — to wszystkie będą twoje. Mój pan jest dobry i da ci całe królestwo i córkę swą za żonę. Ale powiadam, musisz być mądry.

Serce Marcina napełniło takie uczucie rozkoszy, że począł skakać i tańczyć. Paniczyk śmiał się również na całe gardło i mówił:

— Chodźmy już! Przedstawię cię towarzystwu.

Rzekłszy to, wprowadził rybałta do sali, gdzie było zgromadzonych wiele osób, a wszyscy przyglądali mu się z wielkiem zajęciem, a kobiety mierzyły go od stóp do głowy życzliwym wzrokiem. Widocznie spodobał się im, gdyż był to chłopak piękny, jak malowanie. Wszyscy mu się przedstawiali, a on słysząc wymieniane nazwiska, sądził, że się znajduje w gronie samych hrabiów i markizów.

Patrzył na to wszystko z nadzwyczajnym podziwem. Bywał już niejednokrotnie we dworach i zamkach, ale takich przepychów, jak tu, nigdzie nie widział. Wszystko lśniło od złota i drogich kamieni, — wszystko mieniło się tysiącami barw.

— Jak się panu Marcinowi podoba tutaj? — zapytała czarnooka dziewica.

— Och cudownie! — zawołał z zachwytem Marcin. Wypowiedzieć tego nie potrafię mój ty najkraśniejszy aniele.

Skrzywiła się na to nazwanie dziewica i rzekła niechętnie:

— Nie jestem ja anioł żaden i tak mi mówić nie trzeba. Fala się nazywam i tak mi mówić potrzeba!

Zaproszono rybałta do obiadu, a on wygłodzony, jak hart, jadł za czterech, pił za dziesięciu i coraz natarczywiej przypatrywał się pięknym dziewicom.



Po obiedzie zaczęła się zabawa, a Marcin śpiewał, grał i tańczył, nie odsuwając nigdy podawanego mu kielicha. Nareszcie język mu się zaczął plątać, — widocznie wino było silniejsze od niego.

— Niedobrze ci, panie Marcinie? — zapytała Fala czarującym głosikiem.

A gdy Marcin skinął głową na znak potwierdzenia, zaproponowała mu przechadzkę po ogrodzie.

Kiedy znaleźli się zdala od towarzystwa, poprowadziła go Fala nad staw, w którego zwierciadle rybałt zobaczył tyle cudności, jakich nikt opisać nie zdoła.

Weszli do łódki. On ujął za wiosła, a ona usiadła naprzeciw niego. Ubrana była w białą jedwabną suknię, haftowaną złotem, ozdobioną drogiemi kamieniami i koronkami. Na rękach miała bransolety wysadzane drogiemi kamieniami, które w blaskach księżyca paliły się, jak ognie. Z długiego, brylantowego naszyjnika spadały perły wielkości orzechów, takie same perły zdobiły pasek, który oplatał się około jej bioder. Włosy i oczy czarne, jak węgiel, lica by piana białe.

Marcin nie mógł oczu oderwać od niej, a nie wiedział, jak jej ma swoją miłość okazać.

Fala zaczęła śpiewać tak pięknie, że Marcin, — chociaż słyszał dużo śpiewów, a i sam był sławnym śpiewakiem, — nie mógł się nadziwić jej cudnemu śpiewowi. Zdawało mu się, że ta cudowna pieśń sama z ust jej spływa, a te poruszają się jedynie na to, aby swem tchnieniem czarowny powiew melodji przesłać gdzieś w świat roztęskniony.

Wjechali na środek jeziora. Marcin przestał na chwilę wiosłować, gdyż był już bardzo zmęczony i aby się nieco ochłodzić, rozpiął kołnierz munduru.



— A co tam masz na piersiach? — zapytała nagle Fala.

— To medalik — odparł, — który mnie ochrania od złych duchów. Dopóki go noszę na piersiach, żadna moc czartowska mi nic zrobić nie może.

Fala spojrzała na niego jakimś dziwnym wzrokiem.

— Banialuki! — rzekła — Przesąd!

A potem niby się namyślając, dodała:

— Otóż to! Już wiem teraz! Jeżeli mnie choć troszkę kochasz, to rzucisz tę blaszkę precz od siebie, a ja nawzajem będę się starała tak cię miłować, jak nikt tego dotychczas nie potrafił!

Marcin westchnął, a Fala mówiła dalej:

— Ja wiem, że ty to zrobisz dla mnie, a ja nawzajem będę twoją niewolnicą i uczynię, czego tylko zapragniesz. A kobieta, kiedy kocha, nie boi się niczego, nie boi się nawet piekła samego. Wszystko jest gotowa uczynić dla swego umiłowanego. Czy zrozumiałeś mnie?

Nie odrzekł Marcin nic, a jeno westchnął znów boleśnie, Fala mówiła zaś dalej:

— Jeżeli chcesz złota, obsypię cię niem, jeżeli chcesz rozkoszy, dam ci je, a nic za to więcej nie pragnę, jak tylko tego drobiazgu: odrzuć tę blaszkę od siebie! Słuchaj! Tylu tu przyjeżdżało sławnych rycerzy, tylu bogaczy otoczonych liczną służbą, a żaden mym rozkazom oprzeć się nie zdołał: czynili com zażądała. A ja tobie nie rozkazuję, ale cię proszę, bo cię miłuję i chcę miłować na zawsze!

— Wszystko, wszystko zrobię dla ciebie! — zawołał napoły z rozpaczą rybałt — każdą rzecz, choćby najtrudniejszą wykonam, ale medalika nie odrzucę!

Fala nie dała jednak za wygraną. Ujęła go za rękę i przyciągnęła do siebie.

— Cóż jest ten medalik — mówiła, przymilając się do niego — kawałek zimnego metalu, który żadnej korzyści nie przynosi. A ja za niego dam ci sławę, bogactwa i mą piękność, której dotychczas nikt posiąść nie zdołał!

— I dlaczegóż ci tak na tem zależy?

(Ciąg dalszy nastąpi).



Poradnik gospodarczy.

Jak się obchodzić z nawozem na gnojowni?

Obornik zawiera wszystkie te składniki, które spotykamy w kupnych, sztucznych nawozach, a więc azot, głównie nabywany w saletrze chilijskiej, kwas fosforowy, nabywany w tomasówce i superfosfacie, potas, nabywany w kainicie. Jednakże obornik nie zawiera tych składników w takiej ilości, jak tego wymaga dobre żniwo.

Dobroć obornika zależy też wiele od żywienia zwierząt. Nie słoma, nie burak może lub kartofel samo z sieczką dostarczają nam dobrego obornika, ale t. zw. „ścisła" pasza, a więc ospa, kuch i t. p. dodatki, te to właściwie dają nam dobry obornik tłusty, treściwy, wpływający na plony.

Obliczono przez naukowe badania, że 1 wóz obornika zawiera około 750 kg. wilgoci czyli wody, 50 kg. materji mineralnych i 200 kg. materji wytwarzających próchnicę i azot. Materje te, t. j. azotowe i mineralne, zawierają mniej więcej 5½ kg. azotu, z tego 1 kg. w postaci łatwo rozpuszczalnej, szybko działającej, jako amoniak i saletrę i 4½ kg. w postaci trudno rozpuszczalnej. Dalej zawierają one około 2½ kg. kwasu fosforowego i 7 kg. potasu. Widzimy, że obornik zawiera dużo azotu (saletry) i dużo potasu (kainitu), a mało kwasu fosforowego. I dlatego to prvy oberniku może się prędzej obejść bez saletry, bez kainitu, a w wielu wypadkach nie może się obyć bez superfosfatu, bez tomasówki, inaczej rośliny wydadzą dużo słomy, a mało i liche ziarno.

Ale wracamy do obornika na gnojowni! Przy złem obchodzeniu się z obornikiem straci on bardzo na wartości, ginie w nim wtedy drogocenny składnik azot, giną materje organiczne, czyli próchnica. Doświadczeniami stwierdzono, że złe traktowanie obornika sprawia, że po 5 miesiącach leżenia, ginie go przeszło połowa. Straty te powodują bakterje, które w niedostatecznie ułożonym i nieudeptanym oborniku, skutkiem dostępu powietrza, rozmnażają się i zamieniają azot organiczny w lotny azot amoniakalny, który uchodzi jako gaz w powietrze.

Aby temu zapobiec, trzeba nawóz udeptać mocno. Odcina się przez to powietrze, powstrzymuje się rozwój bakteryj. Luźno ułożony obornik pleśnieje i żadnej w końcu nie ma wartości.

Osiąga się zaś dobre ułożenie i udeptanie obornika na gnojowni, układając go wszędzie równo warstwami. Do udeptania najlepiej na jakiś czas wypędzać codziennie bydło na gnojownię, które w tym celu ogrodzić należy drągami.

Nie powinno się dopuszczać do gnojowni świń ani drobiu. Jedne i drugie rozgrzebują nawóz, dochodzi do niego w ten sposób powietrze, a z niem tworzy się pleśń itd.

Koniecznem jest w upalnych miesiącach zwilżanie nawozu gnojówką, a jeżeli jej braknie, wodą nawet.

W zbyt sucho utrzymanym oborniku tworzą się próżnie, a w nich powietrze, które dla obornika jest zabójczem.

W końcu trzeba pokryć udeptany obornik zawsze ziemią, najlepiej suchą, torfową lub wprost torfem, jeśli takowy znajduje się w gospodarstwie.

Rolnik powinien pamiętać, że mimo wszelkiej pożyteczności sztucznych nawozów, obornik w gospodarstwie zawsze stanowić będzie podstawę nawożenia, bo dostarcza ziemi tak potrzebnej próchnicy.

Rolnik nie powinien zapominać, że dobry obornik nie przychodzi darmo, bo, jak już powiedzieliśmy na wstępie, wymaga dodatku do paszy drogich osp, ziarna lub makuchów. Tak zaś okupiony nawóz powinien też być umiejętnie przechowanym.

Rolnik, mały czy wielki, wie dziś zresztą doskonale, iż dobry obornik wzbogaca ziemię, podnosi w ziemi wilgotność, spulchnia ziemię, rozmnaża w niej pożyteczne bakterje przez to, że dostarcza im pożywienia, wszystko zaś razem zwiększa plony i napełnia złotem kieszenie rolnika.

Poradnik lekarski.

Katar i jego leczenie.

Przyzwyczailiśmy się sądzić, że przyczyną kataru jest przeziębienie, wynikłe z zamoczenia nóg, przeciągu, zmian temperatury i t. p. Że jednak samo przeziębienie nie wystarcza na to, by dostać kataru, o tem każdy z nas przekonać się może bardzo łatwo. Weźmy np. turystów w górach; ileż to razy zdarza się, że przemokną do nitki, a jednak żaden z nich kataru nie dostanie, bo w górach niema bakcylów kataru. Katar, jest to bowiem choroba infekcyjna, wywołana przez bakcyla katarowego, występującego w różnych odmianach. Wystarczy pobyć w towarzystwie osoby zakatarzonej czas pewien, by dostać silnego kataru. Dlatego też na pytanie, czy można się ustrzec kataru, jedna jest tylko odpowiedź — nie. Chcąc bowiem naprawdę kataru uniknąć, trzebaby siedzieć pod szkłem i unikać wszelkich lokali publicznych i środków komunikacji.

Katar nietylko bywa lekceważony, lecz nieraz stanowi przedmiot śmiechu; a tymczasem dla dotkniętego nim jest to choroba bardzo przykra. Nadmierna wydzielina, trudności w oddychaniu, zmiana w głosie, a często i bóle głowy — wszystko to sprawia, że katar staje się poważną przeszkodą w wykonywaniu obowiązków zawodowych.

Zwykły, ostry katar przechodzi zazwyczaj bez gorączki; to też nawet nieznaczna gorączka przy katarze świadczy o pewnych powikłaniach, najczęściej w jamie nosowej; towarzyszy im bardzo silny ból głowy. Prócz ostrego jest jeszcze katar chroniczny i nerwowy.

Szybko przemijający katar trwa zaledwie kilka dni, a polepszenie widać odrazu po zmniejszonej ilości zużywanych chustek do nosa. Znika taki katar najczęściej bez żadnych skutków.

Najlepszym środkiem leczenia kataru byłoby przeleżenie w ciągu jednego, dwu dni w łóżku. W dzisiejszych warunkach jest to jednak niemożliwe, bo gdyby każdy człowiek mający katar, chciał dwa dni przeleżeć, biura, fabryki w pewnym okresie czasu — np. obecnie — musiałyby zawiesić czynności. Przy takiej bowiem pogodzie, jaką mamy od kilku dni, mało kto uchroni się przed katarem.

Gdy katar przechodzi na krtań i drogi oddechowe, występuje chrypka i kaszel. Tego rodzaju katar jest postrachem wszystkich śpiewaków: nieraz im się zdarza, że danego dnia mieli silny katar, a w 24 godzin później głos ich traci zupełnie dźwięk. Katar niebezpieczny jest dla niemowląt, nie umieją one

bowiem oddychać ustami; to też duszą się i nie mogą przyjmować pokarmu.

Czy są środki przeciw katarowi?

Jest ich bardzo wiele, więcej aniżeli przeciwko wszelkim innym chorobom. Lecz już ta rożnorodność świadczy dowodnie, iż medycyna przyznać się musi, że właściwie nie posiada środka skutecznego, to też zaleca zainteresowanym rzeczy, w których skuteczność wierzyć nie może; wie tylko, że są one nieszkodliwe. Wiemy, że mentol i wazelina kamforowa dają przy katarze dużą ulgę, lecz żaden środek nie skraca jego trwania i nie leczy.

To też kto dostanie kataru, a nie może położyć się odrazu do łóżka, nie powinien choroby lekceważyć; musi się ciepło ubierać zwracać szczególnie uwagę na obuwie i pończochy (dotyczy to zwłaszcza kobiet): musi też unikać zadymionych lokali, możliwie wcześnie kłaść się spać i brać środki pobudzające do pocenia się. A chociaż medycyna nie ma skutecznego środka w tym wypadku wie jedno w każdy mrazie, że trzeba zachować najdalej posuniętą ostrożność, aby uniknąć nietylko przykrych, lecz nawet niebezpiecznych powikłań.

KRONIKA.

Przepowiednie pogody na rok 1930. Już to jest w naturze ludzkiej, że człowiek stara się przewidzieć przyszłość. I choć rzadko się mu to udaje, to przecież w usiłowaniach swych nie ustaje, doznając z tego powodu nieraz rozczarowania. To samo odnosi się i do pogody. Bawią się w przepowiednie rozmaici wróżbiarze, mamy te przepowiednie w kalendarzach, a choć one nas często zawodzą, to przecież niejednokrotnie im wierzymy. Inaczej jest z przepowiedniami pogody ogłaszanemi przez obserwatorja astronomiczne. Tu ludzie nauki na podstawie badań ogłaszają swe spotrzeżenia, chociaż i oni z góry się zastrzegają, że przepowiedni ich za nieomylne pewniki brać nie można, bo przyszłość wszelka, a więc i pogoda w przyszłości jest w ręku Boga. Przepowiednie ich więc nie są pewnikiem, ale tylko wielkiem prawdopodobieństwem. I cóż ci uczeni astronomowie mówią o pogodzie w 1930 roku? Oto powiadają, że styczeń będzie umiarkowany, dość mokry, mglisty z silnemi wiatrami i burzami. Luty będzie miał pogodę nadzwyczaj zmienną, burzliwą. W drugiej połowie panować będą silne mrozy. Marzec odznaczy się również zmiennemi i burzliwemi pogodami, ale nie będzie specjalnie chłodny. Co najwyżej w środku miesiąca nastąpi nieznaczne oziębienie. Kwiecień będzie dżdżysty i wietrzny. W ciągu miesiąca nastąpią nieznaczne i krótko trwałe przymrozki. Maj będzie odznaczał się wyjątkowo piękną pogodą. Począwszy od 7 maja ciepło będzie wzrastać stopniowo, lecz stale. Czerwiec w pierwszej swej połowie będzie upalny, w drugiej pogody się zmieniają: będą częste deszcze i dopiero w końcu miesiąca pogoda znów się ustali. Lipiec będzie wyjątkowo chłodny. Zdarzać się będą ciepłe dni, ale rzadko. Sierpień będzie w tym roku najpiękniejszym miesiącem, upalnym i pogodnym. Wrzesień również odznaczać się będzie ciepłem i łagodną temperaturą. Październik natomiast będzie bardzo chłodny. Zmiana temperatury nastąpi nagle, w pierwszych dniach miesiąca. Listopad przyniesie znów nieznaczną zmianę pogody, mianowicie będze dość ciepły, lecz dżdżysty i błotny, typowy miesiąc jesienny. Grudzień będzie dość mroźny i śnieżny. W pierwszych dniach miesiąca nastąpią mrozy, dość silne, później w połowie miesiąca lekka odwilż i ciepło, a wreszcie około świąt Bożego Narodzenia znów przyjdą mrozy wraz z silnemi opadami śnieżnemi. Tak przepowiadają uczeni astronomowie, a jak będzie, to tylko jeden Bóg wie.

Zaćmienia w 1930 roku. W bieżącym roku będziemy mięli dwa zaćmienia słońca i dwa księżyca. Pierwsze zaćmienie księżyca przypadnie dnia 13 kwietnia. W Polsce będzie ono wyjątkowo dobrze widzialne. Dnia 28 kwietnia przypadnie zaćmienie słońca, które u nas również dobrze będzie widzialne. Drugie częściowe zaćmienie księżyca nastąpi w dniu 7 października. Będzie ono widoczne w Europie gołem okiem. Drugie całkowite zaćmienie słońca nastąpi 21 października. Zaćmienie to, wyjątkowo silne, spowoduje o 12 w południe niemal kompletny zmrok.

Wielki Lwów. W najbliższym czasie ukaże się rozporządzenie Rady ministrów, rozszerzające znacznie granice miasta Lwowa. W okręg Wielkiego Lwowa wejdą Zamarstynów, Kleparów, Zniesienie, Hołosko Małe, Sygniówka, oraz części gmin Biłohorszcze, Kozielniki i Krzywczyce. Za przyłączeniem do miasta Lwowa przemawia charakter miejski tych gmin, wzgląd na stosunki zdrowotno-budowlane oraz bezpieczeństwo publiczne, konieczność podniesienia kultury tych przedmieść, stan finansów i t. p. Rozporządzenie wejdzie w życie z dniem 1 kwietnia b. r.

Eksplozja gazu w kopalni. Z Borysławia donoszą: Onegdaj rano mieszkańcy Borysławia obudzeni zostali ogromnym hukiem w kopalni „Wiara". Okazało się, że nastąpił tam wybuch gazu w nieczynnym zbiorniku ziemnym. O sile eksplozje świadczy fakt, że zbiornik został rozerwany na kawałki, zaś kotłownia, pod którą znajdował się zbiornik, uległa znacznemu uszkodzeniu. Powstały pożar został ugaszony przez straż ogniową. Ofiarą wybuchu padł wiertacz Norbert Papka, który doznał złamania obu nóg, a który w drodze do szpitala zmarł.

Barbarzyński zamach na pomnik. Mieszkańcy Bogucic na Górnym Śląsku wybudowali przy jednej z ulic piękny pomnik poległych powstańców śląskich. Pomnik ten był solą w oku dla nielicznych tamtejszych Niemców. Chcąc go usunąć, podłożyli pod pomnik bombę dynamitową, zapomocą której pomnik rozbili. Stało się to o 3 w nocy, dzięki czemu nikt z ludzi nie został ranny.

Sam się ukarał. W Mianowicach, na Śląsku, znaleziono niedaleko budynku dworcowago zwłoki przejechanego przez pociąg mężczyzny. Dochodzenia ustaliły, że jest to niejaki Ryszard Bukowski, który od sześciu lat pozostawał na utrzymaniu swej 68-letniej matki, wdowy po górniku. Policja udała się do mieszkania, gdzie dokonała strasznego odkrycia. W nędznym pokoiku na tapczanie leżały zwłoki Rozaliji Bukowskiej. Na podstawie śladów na ciele oraz zeznań sąsiadów stwierdzono, że między synem a matką wywiązała się kłótnia, podczas której syn rzucił się na sparaliżowaną od 9 miesięcy staruszkę i ciosem siekiery w głowę pozbawił ją życia. Po dokonaniu zbrodni Bukowski rzucił się pod koła pociągu.

Tragiczna śmierć narzeczonego. W Warszawie miał się odbyć ślub starszego posterunkowego policji Jana Kasprzaka. Jeszcze w przeddzień ślubu rodzice pana młodego odradzali synowi, aby się nie żenił, gdyż jego wybrana nie będzie dla niego dobrą żoną. Radzili przeto synowi, aby, póki czas, cofnął się. Z drugiej strony rodzice narzeczonej nalegali, aby Kasprzak nie od-

kładał daty ślubu. Nie mając odwagi zerwania z narzeczoną i nie chcąc postąpić wbrew woli rodziców, popełnił Kasprzak w przeddzień ślubu samobójstwo zapomocą wystrzału z rewolweru.

Ofiara nieostrożnego obchodzenia się z bronią. W lesie pod Milanówkiem koło Warszawy zdarzył się wypadek, w czasie którego 13 letni chłopak, Marjan Kuszyński, otrzymał ciężki postrzał w udo. Według twierdzenia chłopaka kula wypadła z pobliskiego lasu, gdy był na przechadzce ze swym kolegą Kamińskim. Śledztwo policyjne ustaliło jednak, że obaj chłopcy, zabrawszy od znajomych rewolwer, udali się do lasku, aby urządzić strzelaninę. W drodze Kuszyński manipulował przy rewolwerze tak niefortunnie, że nastąpił strzał i kula przebiła chłopcu udo. Przestraszeni chłopcy zakopali rewolwer w lesie, a następnie umówili się, że zeznają zgodnie, iż kula wypadła z pobliskiego lasu. W drodze powrotnej wstąpili do kościoła i złożyli ślubowanie przed wielkim ołtarzem, że jeden drugiego nie zdradzi. Sprawa wykryła się dzięki temu, iż lekarz stwierdził, że strzał padł z bliskiej odległości.

Szkielet z przed 5 tysięcy lat. W czasie robót, mających na celu osuszenie torfowiska pod Rawą Mazowiecką, natrafiono na olbrzymiej wielkości kościelec nieznanego zwierzęcia. Miejscowy ksiądz proboszcz nabył kościec od właściciela torfowiska, poczem zawiadomił Zarząd Muzeum zoologicznego przy uniwersytecie warszawskim. Na miejsce udał się jeden z profesorów tego uniwersytetu, który, zbadawszy wykopalisko, stwierdził, że jest to kościec tura przedhistorycznego z przed 5 tysięcy lat, jedyny znaleziony w całości. Po przewiezieniu do Warszawy kościec ten został zestawiony i umieszczony w Muzeum zoologicznem uniwersytetu warszawskiego.

Gość z tamtego świata. Gazety warszawskie opisują szeroko zdarzenie, jakie miało tam mieć miejsce w rodzinie niejakich Borowców, zamieszkałych przy ul. Emilji Plater. Otóż w lipcu 1927 r. zmarła Borowcom najstarsza córka 20 letnia Kazimiera Gruszkowa, która z mężem zdążyła przeżyć zaledwie dwa miesiące. Minęło pięć miesięcy. Pewnej grudniowej nocy Borowcowa usłyszała silne kołatanie. Przypuszczając, że to przyszła sąsiadka po lekarstwo, otworzyła drzwi i zobaczyła w nich swą zmarłą córkę. Była ubrana w biały welon ślubny, z wiankiem na głowie tak, jak złożono ją do trumny. Z obu stron twarzy zwieszały się pukle włosów, na policzkach znać było rumieńce. Odtąd zmarła coraz częściej zaczęła ukazywać się rodzicom i rodzeństwu. Częstokroć przebywała w mieszkaniu po godzinie, a nawet i dłużej. Przywitawszy się z domownikami, podchodziła zwykle do obrazka Matki Boskiej, składała ręce w modlitewnej pozie, poprawiała kwiatki z fryzowanej bibułki. Nawet w zupełnie ciemnym pokoju łatwo ją było rozróżnić, gdyż z całej postaci promieniowała jasność, a pokój napełniał się fosforyzującemi mgławicami. Zależnie od niedających określić się bliżej warunków, zjawa zmarłej przemawiała do matki pełnym głosem, czasami szeptem, to znów zaledwie poruszała wargami. Pewnego razu w odpowiedzi na prośbę rzekła:

— Dobrze, mamo, sprowadzę inne duchy, jeżeli przyjść zechcą.

I przyszły. Borowcowowa widziała tłumy zjaw, cicho sunących przez mieszkanie. Mogła rozpoznać drogie, a dawno zmarłe osoby, które witały ją dobrem słowem. Dwa lata już trwają te zjawiska w rodzinie Borowców. Natężenie objawów nietylko nie osłabło, lecz potężnieje stale. Błędne ogniki, gwiazdy spadające z sufitu, mgławice świetlne poprzedzają zazwyczaj mającą nastąpić materjalizację. Nieboszczka rozmawia z rodzicami, braćmi i siostrzyczką. Niezwykłemi temi zjawiskami zainteresowały się koła naukowe stolicy. Oczywiście dopiero uczeni zdołają stwierdzić, czy zjawa ta jest rzeczywistością, czy też bajeczką, wysnutą przez łatwowiernych ludzi.

Swinie zjadły pieniądze. W Lublinie niejaka Żróbkówna, zamiast do kasy, składała zaoszczędzone pieniądze do siennika. Gdy miała już uskładanych 6 tysięcy, matka jej, nie wiedząc o oszczędnościach swej córki, wyrzuciła słomę z siennika świniom sąsiada. Córka, dowiedziawszy się o tem, wszczęła alarm, jednak poszukiwania nie dały rezultatu, gdyż pieniądze zjadły świnie. A może nie czworonożne ale dwunożne, bo i takich jest dość na świecie!

Śmierć trzech ludzi pod lodem. Maksymiljan Smulewicz i Józef Goldański, obywatele polscy, zamieszkali w Gdańsku zamierzali przedostać się nielegalnie przez granicę do Prus Wschodnich w towarzystwie jakiegoś mężczyzny, którego nazwiska dotychczas nie ustalono. W chwili, gdy przechodzili przez zamarznięty Nogat, lód załamał się i wszyscy trzej wpadłszy do wody, utonęli. Na drugi dzień przechodnie znaleźli przymarznięte do lodu dwa kapelusze, a po krótkich poszukiwaniach wydobyto z pod lodu zwłoki Smulewicza i Goldańskiego. Zwłok trzeciej ofiary dotychczas nie odnaleziono.

Zaczadzona rodzina. Gazety węgierskie donoszą o strasznej śmierci całej rodziny włościańskiej złożonej z 6 osób, w jednej z górskich miejscowości węgierskich. Przyczyną katastrofy było zatkanie pieca i czad po zapaleniu węglem kamiennym. Gdy rano zaniepokojeni sąsiedzi wyłamali drzwi do głuchego domu, zastali całą rodzinę pogrążoną w wiecznym śnie.



Wypadki takie, jak powyższy, zdarzają się w miejscowościach, gdzie używa się węgla do opalania, niestety, dość często. Przyczyną zwykle bywa niedopatrzenie, czy węgle w piecu zupełnie się wypaliły i zawczesne zamknięcie pieca dla utrzymania ciepła. Należy przestrzedz przed tak lekkomyślnem postępowaniem, które powoduje śmierć znajdujących się w pokoju osób.

Biała flaga na więzieniu w Pradze. W ubiegłym miesiącu na gmachu aresztu policyjnego w Pradze ukazała się flaga, jako znak, że w dniu tym w więzieniu owem nie znajduje się ani jeden przestępca. Zdarzenie takie należy do nadzwyczajnych rzadkości, gdyż w mieście miljonowem siłą rzeczy policja zmuszona jest codziennie aresztować kilka lub nawet kilkanaście podejrzanych osobników. A tymczasem zdarzył się dzień, w którym nikogo nie aresztowano, ani też nikt z poprzednio aresztowanych na dzień ten w więzieniu nie-

pozostał. Następnego dnia flagę ową zdjęto, gdyż przybyli nowi goście.

Bestjalski rabunek. W miejscowości Rossbach, w Dolnej Austrji dokonali nieznani sprawcy potwornego napadu rabunkowego na osobie 70 letniego gospodarza Jana Fastenmeiera. Napastnicy napadli go w drodze z gospody do domu, a pobiwszy go dotkliwie, powalili na ziemię i ograbili. Nie dość im było jednak tego. Oto zbrodniarze ciężko rannego wrzucili następnie do przydrożnego rowu, oblali benzyną i podpalili jego ubranie. Jakiś przechodzeń znalazł płonące jeszcze ciało i wezwał ludzi na pomoc, ale choć ugaszono ogień, na nic się to nie przydało, gdyż ofiara bestjalskiego napadu już nie żyła.

Przywieźli nędzę i śmierć. Z „raju" bolszewickiego uciekło, jak wiadomo, kilka tysięcy Niemców. Rząd niemiecki uciekinierów tych osadził w obozie Hammerstein. Obecnie pomiędzy dziećmi uchodźców wybuchła straszna choroba, przywieziona z Rosji, przed którą lekarze stają bezradni. Oznaką jej jest wysoka gorączka, doprowadzająca zazwyczaj do śmierci. Choroba ta nawiedza jedynie dzieci poniżej lat pięciu. Do baraków, gdzie owe chore dzieci się znajdują, wstęp jest jak najsurowiej wzbroniony.

Tragiczny skon upiora. Od dłuższego czasu Berlin pozostawał pod wpływem strachu przed tajemniczym upiorem, który niespostrzeżenie wkradał się do mieszkań, ogołacając je z wszelkich kosztowności. Wszelkie usiłowania, aby go schwytać, okazały się bezskuteczne. Aż wreszcie, zdaje się, i na niego przyszedł koniec. O o przed kilku dniami jedna z pań odprowadzała swych gości do bramy kamienicy. Kiedy zamknęła za nimi drzwi, zgasło nagle światło. W ciemności chciała zaświecić, gdy nagle poczuła, że chwyciła ją jakaś obca ręka. Śmiertelnie przerażona wezwała pomocy. Intruz uciekł i usiłował się wydostać przez drzwi pokoju, ale drzwi te były zamknięte. Pobiegł więc przez podwórze do bocznego skrzydła kamienicy. Tymczasem mieszkańcy kamienicy, zaalarmowani krzykiem napadniętej kobiety, wypadli ze swoich mieszkań i puścili się w pogoń za tajemniczym napastnikiem. Intruz wydostał się przez otwarte okno czwartego piętra na wąski gzyms okienny. Jedną ręką trzymał się silnie okna. Jeden ze ścigająch go mieszkańców chciał chwycić za tę rękę. Wówczas intruz puścił nagle rękę, stracił równowagę i runął z przeraźliwym krzykiem w przepaść. Upadł na podwórze, gdzie poniósł śmierć na miejscu. Nie znaleziono przy nim żadnych dokumentów, więc niewiadomo, kto był owym tajemniczym upiorem.

Siedm dzików na zabawie ludowej. O niezwykłem zdarzeniu donoszą gazety francuskie. Oto we wsi Lavertanniere odbywała się w tych dniach zabawa ludowa na wolnem powietrzu. Gdy uczestnicy jej byli najbardziej podochoceni, nagle wpadła w tłum rodzina dzików, złożona z siedmiu sztuk, wystraszona czemś z lasów sąsiednich. Oczywiście dziki wywołały popłoch ogromny, niemniej znalazło się kilku ludzi odważniejszych, którzy zdołali schwytać i zabić trzech warchlaków. Reszta dzików, przebiegłszy wioskę, znikła w pobliskim lesie.

Wędrówka niezwykłych niedźwiedzi. Z Petersburga donoszą, że w tamtejszych okolicach dostrzeżono w czasie polowań szereg niezwykłych niedźwiedzi, nieznanej rasy i olbrzymiej wielkości. W czasie jednego z polowań na zające niedźwiedź taki rzucił się na grupę myśliwych i dopiero po dwugodzinnej walce i z pomocą nadbiegłych chłopów zdołano go zabić. O rozmiarach niedźwiedzia tej nieznanej rasy świadczy jego waga, wynosząca 170 kilogramów. Zdaniem uczonych, którzy zajęli się tym niezwykłym okazem, niedźwiedzie te pochodzą z tajgi syberyjskiej, bądź z Uralu, skąd rozpoczęły wędrówkę, wiedzione, jak sądzą uczeni, instynktownem przeczuciem jakichś żywiołowych wydarzeń. Zaobserwowano bowiem już wielokrotnie, zwłaszcza w czasie wojny światowej, że zwierzęta, w większym stopniu obdarzone instynktem samozachowawczym, zdradzały przeczucie klęski głodu, pożaru lasów, czy bitew i uciekały ze swych legowisk, kierując się w dalsze, bezpieczniejsze okolice.

Odkrycie złota na Syberji. Uczeni rosyjscy prowadzą w ostatnich czasach bardzo szczegółowe badania nad poszczególnemi terenami Syberji. Prace ich nie pozostały bezowocne. Ostatnio, oprócz innych, dokonano bardzo cennego odkrycia; oto w okolicach między rzekami Indygirką a Kołymą znaleziono potężną żyłę złota, która ciągnie się na przestrzeni 700 kilometrów. Jeśli wiadomość ta okaże się zupełnie prawdziwą, to Syberja będzie posiadała najbogatsze na świecie kopalnie złota.

Ucieczka przed śmiercią głodową. Wskutek silnych mrozów na dalekiej północy i niebywałych opadów śnieżnych, tysiącom reniferów grozi śmierć głodowa. Mech stanowiący główne ich pożywienie, w wielu okolicach jest przykryty tak grubą warstwą zmarzniętego śniegu, że zwierzęta nie są w stanie dokopać się do swej paszy. Olbrzymie więc stada reniferów ruszyły na południe, przeszły przez strefę, w której nie widziano ich przez wiele lat i posuwają się dalej, szukając pożywienia. Oczywiście nie trzeba dodawać, że wiele słabszych jednostek podczas tej ucieczki przed głodem ginie z głodu.

Nieszczęśliwa ręka. Z Egiptu donoszą, że pochowano tam uroczyście rękę królowej egipskiej, przynoszącą nieszczęście. Ręka ta przed pięcioma miesiącami sprzedana została przez pewnego handlarza starożytności jakiemuś Arabowi. Bezpośrednio po kupieniu tej ręki Arab otrzymał list anonimowy z następującemi słowami: „Ręka ta przynosi nieszczęście. Znieś ją z powrotem do grobu!" Arab nie usłuchał tej przestrogi i wszystkie pierścienie, któremi ozdobiona była ręka królowej egipskiej, dał do sprzedaży swemu bratu, rękę zaś ukrył gdzieś w polu. Wkrótce potem chata owego Araba zawaliła się, a on sam znalazł śmierć pod jej gruzami. Brat Araba, który kosztowne pierścienie, zdjęte z ręki królowej, zawiózł na sprzedaż do Kairu, rozchorował się nagle i zmarł wśród strasznych męczarni w przeciągu kilkunastu godzin. Gdy żona jego powiadomiona została o nagłej śmierci męża, wykopała bezzwłocznie z kryjówki w polu ową fatalną, same klęski przynoszącą rękę i wśród uroczystości, przy udziale dużych zastępów ludności pochowała w grobie.

Odkopywanie Sodomy. Niezwykle cennego odkrycia dokonała angielska ekspedycja archeologiczna w Palestynie. Po długich i trudnych kopaniach dokopano się na wschód od rzeki Jordanu kilku szczątków okazałych budowli starożytnych. Na ruiny natrafiono w różnych miejscach na obszarze obejmującym wielkość kilku mórg, które rozmieszczeniem swojem świadczą, że odnaleziono tu niejedną budowlę, ale całe wielkie miasto. Uczeni twierdzą, że są to ruiny słynnej Sodomy, która według opowieści biblijnych mieścić się musiała w tej właśnie okolicy i zginęła wskutek wielkiego pożaru. Wszystkie bowiem odnalezione dotychczas ruiny wskazują ślady takiego pożaru. Wkrótce zapewne nadejdą bardziej wyczerpujące wiadomości, ponieważ obecnie podwojono prace nad wykopaliskami.

Numera początkowe posiadamy w zapasie. Można zamawiać w sklepach, w których Czytelnicy „Rolę" kupują lub w Administracji „Roli" nadsyłając w liście znaczki pocztowe po 30 gr. za numer.

RZECZY CIEKAWE.

Bawełna.

Jest to jedna z najpożyteczniejszych roślin na świecie. Nabycie materjałów odzieżowych jest przy dzisiejszej ogólnej mizerji zadaniem niesłychanie ciężkiem dla szerokich mas. Możemy sobie wyobrazić, jak krytycznem by się stało położenie ubogiej ludności, gdyby zabrakło tego stosunkowo taniego a obfitego surowca tkackiego. A jednak ta pożyteczna roślina jest tak mało znaną wśród tych właśnie, którym najwięcej służy. Warto się z nią zapoznać.



Kwiat bawełny.



Zbiór bawełny.

Owoc bawełny posiada nasiona pokryte kosmatym mchem, który dostarcza surowca tkackiego. Roślina ta wymaga klimatu gorącego, o ciepłocie równomiernej i ciągłej; klimatu wilgotnego, ale o wilgoci sezonowej. Roślina potrzebuje obfitej wilgoci, gdy owoc się formuje, podczas gdy okres dojrzewania wymaga absolutnej suszy. Warunków tych dostarcza strefa podzwrotnikowa, bo tu właśnie zmieniają się regularnie pora deszczowa i pora posuchy. Zresztą można i w okolicach gorących i suchych zaprowadzić kulturę bawełny pod warunkiem sztucznego nawodnienia terenu , jak to ma miejsce w Egipcie.

Dalszym warunkiem uprawy bawełny jest odpowiednia gleba szlamowa, ziemie pochodzące z rozkładu roślin lub skał wulkanicznych.

Produkcja bawełny mobilizuje mnóstwo sił roboczych. Dla zbioru owoców, usunięcia nasion, oczyszczenia i uformowania bali dla celów eksportu. Daleko więcej robotników muszą przedsiębiorstwa angażować w okolicach, gdzie nawodnienie terenów staje się niezbędnem. Prac tych dokonują w Azji i Afryce krajowcy, w Ameryce potomkowie dawnych niewolników sprowadzanych z Afryki.

Najodpowiedniejsze dla tej hodowli warunki klimatu i gleby znajdujmy nad zatoką meksykańską w Ameryce; mamy tam do czynienia z typową ziemią bawełnianą. Toteż położone tam stany Ameryki Północnej: Karoliny, Georgja, Floryda, Luiziana, Mississipi, Alabama, Texas dostarczają prawie trzy piąte części produkcji światowej. Największymi rynkami bawełnianemi są t. zw. miasta: Nowy Orlean i Galveston nad zatoką meksykańską, a Richmond nad Atlantykiem.

Dalszym producentem bawełny, lichszej zresztą sorty, są Indje angielskie z centrum targowem Bombajem, a dalej Egipt z Aleksandrą i Tantahem. Reszta produkcji przypada na Chiny południowe, Turkestan i Brazylję.

Ponieważ bawełna jest w pozycji gospodarczej każdego państwa elementem niesłychanej wagi (ogromny wpływ na bilans handlowy), nie możemy się dziwić, że państwa tak zapobiegliwe jak Francja i Anglja zabrały się energicznie do zaprowadzenia kultury bawełny w swoich kolonjach: Francja w Afryce zachodniej, Anglja we wschodniej, gdzie warunki klimatyczne i terenowe doskonale się do tego nadają. Surowiec bawełniany przerabiają na materjały częściowo kraje produkujące bawełnę, pozatem idzie on w ogromnych masach do Europy, szczególnie do krajów przemysłowych Anglji, Francji, Niemiec i Belgji do przędzalń i tkackich fabryk. Centrami importu bawełny są Liverpool w Anglji, Havre we Francji, Brema w Niemczech, Antwerpja w Belgji. Polska nie sprowadza, niestety, bawełny bezpośrednio od producentów, ale z Bremy od importerów niemieckich, bogacąc tym sposobem niemieckie przedsiębiorstwa okrętowo-transportowe i kupców niemieckich. Przędzalnie i tkalnie polskie są skoncentrowane głównie w Łodzi, Bielsku i Białymstoku.

Handel bawełną i wyrobami bawełnianymi jest jednym z najwięcej rozwiniętych; jedynie obroty produktami żywnościowemi i opałowemi mogą się z nim równać.

Światowa produkcja bawełny wynosi okrągło 5,961.300 ton, w tem udział Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej stanowi 3,491.500 ton, Indyj angielskich 1,095.500 ton, Egiptu 353.000 ton, Turkestanu 172.000 ton, Brazylji 147.900 ton, reszty świata 701.200 ton. *Stefan Łipczak.*

Najszybsze pociągi.

Najszybcze pociągi kursują obecnie w Angjli na linji Londyn—Bristol, przebiegając ten dystans z szybkością 106.6 klm. na godzinę. Pociągi te nie zatrzymują się wcale w drodze, a nabieranie wody do tendra odbywa się automatycznie bez zwolnienia nawet tempa biegu. Drugie z kolei co do szybkości miejsce zajmują ekspressy francuskie na linji Paryż—St. Quentin, które przebiegają ten dystans, robiąc po 99.9 klm. na godzinę. Na trzeciem miejscu znajdują się kurjery niemieckie, które na pewnych linjach biegną z szybkością 90.7 klm. na godzinę. W tyle za Europą zostały pod tym względem przeodujące dawniej Stany Zjednoczone; najszybszy ekspress na linji San Francisco—New-York biegnie z maksymalną szybkością tylko 77.3 klm. na godzinę. Nasze koleje pod względem szybkości nie mogą rywalizować z żadnym z tych krajów.

Ilość Słowian na świecie.

W czasopiśmie naukowem „Słowiańska statystyka“ ukazały się ostatnio bardzo ciekawe obliczenia, dotyczące ogólnej ilości Słowian na całym świecie. I tak narody słowiańskie liczą obecnie łącznie 179 miljonów 180 tysięcy osób. Z cyfry tej przypada na: Wielko-Rosjan 81,790.000, Ukraińców około 38,810.000, Białorusinów 6,600.000, Polaków 23,920.000, Czechów 8,720.000, Słowaków 2,800.000 osób. Najmniejszym narodem słowiańskim są Łużyczcy Serbowie, których liczba wynosi 120 tys. osób. Wszystkie prawie narody słowiańskie posiadają dziś już własne państwa. Rodzina narodów słowiańskich należy zatem do najpoważniejszych grup na całym świecie.

Na fundusz wydawnictwa nadesłali P. P.:

Helena Kasprusiowa z Zakopanego dla Maćka (na „rycynę“) 1 zł., Zofja Jarolinowa z Dębicy 10 zł., Stanisław Kotwa z Kołomyji dla Maćka 1 zł., Kazim. Majko i Michał Aksamit z Bukowiny 20 lei Maćkowi noworocznego, Hawrysz Teodor (Ostapie) 2 zł. dla Maćka, Józef Gabryś z Pruchnej 50 gr.

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

Pp.: **Władysław Szlek** w G.: Nadesłane nam opowiadanie bardzo ładnie napisane, brak w niem jednak głębszej myśli, dlatego nie wydrukujemy. — **Skawski** w B.: Zaczął Pan bardzo ładnie tak co do stylu, jak i treści, ale zakończenie nie umotywowane. W pracach Pańskich znać dobre chęci, ale brak rutyny nie dozwala na poprawne wykończenie całości. Autor musi widzieć, przed sobą cel, dlaczego coś pisze, a więc, czy chce pouczyć czytelnika, czy go zabawić, czy mu dać dobry przykład, lub też odstraszyć od złego. Gdy brak w utworze jakiegoś określonego wyraźnie celu, utwór traci na wartości, choćby był najładniej napisany. — **W. Homelski** w S.: W opowiedzianej humoresce przez owego górala brak humoru, a humoreska bez humoru nie jest humoreską. — **Franciszek Macioł** w S. B.: Rozwiązanie zagadek z 52 numeru spóźniło się. — **Marja Matożanka** w L.: Wie Pani, że o rzeczy, której się nie rozumie, to najlepiej nie mówić. Dam Pani przykład. Onegdaj szedłem do Redakcji. Przedemną szły dwie gimnazjalistki, liczące może po 12 do 13 lat. Jedna z nich powiada do drugiej: „Zerwałam z nim, bo on chce się kochać tylko platonicznie, a ja platonicznej miłości nie uznaję. „Otóż widzi Pani, gdyby owo dziewczątko było wiedziało, co to jest miłość nieplatoniczna, byłoby takiego zdania całą buzią nie wypowiadało. Ale biedaka zasłyszała coś gdzieś o miłości platonicznej i nieplatonicznej i tak sobie bez rumieńca na twarzy na cały głos o tem mówiło. Coś podobnego jest i z Panią. — **Karol Żurek** w D.: I my jesteśmy tego zdania, że ta cała walka z rządem była niepotrzebna; opozycja, nie uzyskawszy nic, przycichła, bo zrozumiała, że nic poradzić nie zdoła. Co do poprawy bytu urzędników, to posłowie opozycyjni, że się tak wyrazimy, „bajtlowali". Wszak każdy zdrowo myślący człowiek wie, że zależy to nie od rządu, ale od posłów: rząd tylko wtenczas może dać więcej urzędnikom, jeżeli potrzebne fundusze uchwali sejm, a sejm, to posłowie, a nie ministrowie. Gdyby rząd bez uchwały sejmu podwyższył pobory urzędnicze, wówczas ci sami przyjaciele urzędników wsiedliby z gębami na niego, że robi wydatki bez zgody sejmu. A są przecie jeszcze tacy, którzy myślą inaczej i na wiecach posłom wierzą. — **Kroczek Karol** z K.: Numera z czekami wysłaliśmy. Nie wiemy tylko czy adres p. Toman Karol, Szonów, 202, Czechosłowacja, jest dobry. Za życzliwość serdecznie dziękujemy i polecamy się nadal. — **Józef Gabryś** z P.: Cieszy nas bardzo i Pańskie uznanie dla „Roli", a to tembardziej od ewangielika, i tembardziej jest ono dla nas zachętą do dalszej wytrwałej pracy. Cześć! **J.Rajca** w T.: Zagadki przeznaczamy do druku. **E. Drzewuska** w T.: Za miły obrazek rączki całujemy. **„Rinis" z Naprawy:** o ile miejsce pozwoli umieścimy. **Władysław Mirek** w N.: Nadesłany obrazek przeznaczony do druku. Musi jednak czas dłuższy poczekać na swą kolej, gdyż przedewszystkiem będziemy drukowali prace konkursowe. **Aleksander Kuśmiecki:** W utworach wierszem znać wielką łatwość rymowania, trzebaby je jednak jeszcze lepiej opracować, usunąć drobne usterki, a całość byłaby wcale miła. A dlaczego w »Zbrodni« używa Pan imion ruskich nie polskich? — **Franciszek Pukas** w Szcz.: W sprawie tej najlepiej się zwrócić do któregoś z posłów, a może on zmianę niewłaściwego zarządzenia wyjedna. — **Witold Urbanek** w K.: List Pański bardzo dobrze napisany, zawiera wiele bardzo cennych myśli. Będziemy się starali choć w skróceniu go wydrukować. Za życzliwe słowa uznania serdecznie dziękujemy. **Stefan Lipczak** w K. Artykuł otrzymaliśmy, ale bez podpisu, więc nie odpowiedzielismy. Zamieścimy. — **Władysław Woś** w K. R.: Artykulik Pański zawiera pewne myśli, ale ze względu na formę do druku się nie nadaje. — **Strządała Jerzy** w Z.: Pod wskazanymi adresami numera z czekami wysłane. Dziękujemy.

Unieważniam książeczkę wojskową na nazwisko Józef Rusin, urodzony w r. 1894, 12 p. p. sz. wydaną przez P. K. U. Nowy Targ.

Zagadki do nagrody.

1. Logogryf.

(Ułożył Leon Kmita z I.).

■ ☆ ☆ ☆ ☆ Kraj w Europie.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Bal.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Pieniądz
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Imię żeńskie.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Dopływ Dniepru.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Jeść po niem.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Miasto na Śląsku.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Chwyta wstecz.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Książę wstecz.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Pisarz angielski.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Ptak.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Taniec.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Miejsce wstecz.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Imię męskie.

Początkowe litery czytane z góry na dół dadzą tytuł powieści Stefana Żeromskiego.

2. Szarady.

I.

(Ułożył Franciszek Macioł z S. B).

Każdy się powinien silić,
Aby pierwsze wykorzenić,
Które dzisiaj, powiem szczerze,
Coraz większą górę bierze
Bez litery pierwsze z drugiem
Na wodzie się czasem wznoszą.
Nieraz człowiek trzecie-drugie.
Cali biorą, a nie proszą.

II.

(Ułożył Alfons Czader z S. W.).

Pierwsza-druga częścią ciała jest człowieka,
Kto jej nie posiada to biedny kaleka.
Trzecia-druga jest to roślina strączkowa,
Dla bydła to pasza posilna i zdrowa.
Całe nosi każdy z nas na sobie przecie.
Łatwa to szarada, więc łatwo zgadniecie,

3. Układanki.

(Ułożył Jan Smaza z Z.)

I.

Spółgłoska + kij = Malarz polski.

II.

Instrument muzyczny + żydowskie imię żeńskie = Redaktor.

III.

Część składowa ciała + część igły = Bohater polski.

IV.

Miasto polskie + samogłoska = Poeta polski.

V.

Ptak + przyrząd do łowienia = Malarz polski.

4. Kwadrat magiczny.

(Ułożył Bogdan Grodzki).



Przyrząd wojenny.
Postać biblijna.
Cesarz rzymski.
Drzewo.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznaczamy dwie książki do rozlosowania.

Za dobre rozwiązanie wszystkich zagadek przeznaczamy dwie nagrody książkowe do rozlosowania.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa 1 lutego b. r.

Znaczenie zagadek z Nru 1 „Roli": 1. Rebus: „Kto nie ma chęci, ten wie jak wykręci". 2. Łamigłówka: „Nowy Rok pogodny, zbiór będzie dorodny". 3. Zagadki humorystyczne: I. Tatarak. II. Jelenie. III. Sikora. IV. W Bukareszcie. 4. Szarady: I. Stolica. II. Krynica. 5. Łamigłówka: Józef Piłsudski.

W oznaczonym czasie dobre rozwiązania nadesłali pp.: Michał Masny z Ł., Tomasz Tiszler z S. S., Stefan Jaworski z P., Helena Bandułówna z M., Józef Kopacz z S., Jan Babiarz z K., Stanisław Łętowski z C. Józef Górecki z K., Z. Stosówna z P., Jan Gara z W., Wł. Wicherek z B., Ks. M. Suchodolski z T., Piotr Wenc z S., J. Rajca z T., Wł. Pupa z G. R.. Fr. Klimeczko z W., Józef Rodak z T., Jan Jura z K.

Nagrody wylosowali pp.: Stanisław Łętowski z C. i Helena Bandułówna z M.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. **Odpowiedzialny Redaktor: Antoni St. Bassara.**
W drukarni „Czasu" w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

Sędzia. Oskarżony! zabiłeś człowieka i cóż na to odpowiesz?

Oskarżony. Niech się panu sędziemu zdaje, że wówczas byłem doktorem.

Sędzia (do złodzieja). Zdaje mi się, że się już znamy od dawna?

Złodziej. A rozumie się, że się znamy! Ja nawet od razu pana sędziego poznałem, choć pan utył trochę. A jakże się tam pani dobrodziejka — dzieciaki — miewają?

Rozbrojenie.

Mąż do żony, wróciwszy do domu nad ranem, w stanie podchmielonym:

— Uwa... asz, Magdziu, po... połóż tę pałkę! W Lidze... Na... narodów jest teraz... właśnie sprawa... sprawa... roz... rozbrojenia.

Zwykły los.

— Wiesz pan — jaki los spotyka pannę, kiedy dojdzie do 30 lat?

— No, — jaki?

— Wiek jej staje na miejscu — a ona osiada na koszu.

Ceny bydła i nierogacizny na krakowskiej targowicy:
w dniu 18 stycznia b. r

Płacono za jeden kilogram żywej wagi:

Buhaje .	od 1·18 do 1·55 zł.	Jałownik	od 1·20 do 1·58 zł.
Woły . .	od 1·15 do 1·70 zł.	Cielęta .	od 1·57 do 2·52 zł.
Krowy .	od 0·86 do 1·50 zł.	Kozy i barany	0·00 do 0·00 zł.
Nierogaciznę	2·20 do 2·66 zł.	Nierogaciznę bitej wagi	od 3·10 do 3 35

Giełda płodów rolniczych
z dnia 18 stycznia b. r.

Pszenica .	37·00—38 00	Słoma długa	8·00—9·00
Żyto .	23·50—24 50	Ziemniaki stoł.	6·00—7 00
Owies . .	19 60—20·00	Koniczyna nasienn. czer.	150·00—170·00
Jęczmień	22·00—23·00		
Fasola biała	000·00—000·00	Mąka żytnia	42·00—42·50
Groch zwyk.	45·00 48·00	Mąka pszen.	73 50—74·50
Siano słodk.	9 50—10·00	Otręby pszen.	16·50—17·00

Ceny rozumieją się za towar średniej handl. jakości za 100 kg.